

BETTY NEELS
Zakochany profesor

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ponurym korytarzem, usytuowanym na najwyższym piętrze w najstarszej, pamiętającej jeszcze epokę wiktoriańską części londyńskiego szpitala Regent's, nikt prawie nie chadzał, jeśli nie liczyć personelu laboratorium patologicznego. Tylko czasami, ale niezmiernie rzadko, zjawiał się tu ktoś z zewnątrz, z któregoś z oddziałów, jak właśnie młodziutka, początkująca pielęgniarka, siostra Wells. Wysłano ją z materiałem do analizy, oczywiście w szkle, dlatego chciała dostarczyć go jak najszybciej, bo profesor van Belfeld czekał i mógł się zniescierpliwzić. Biegła więc pustym korytarzem, aż w miejscu, gdzie załamywał się pod kątem prostym... zderzyła się z kimś, kto zdążył w przeciwnym kierunku. Teraz stała, spoglądając z przerażeniem to na potłuczone laboratoryjne szkło i zniszczony preparat, to na osobę, z którą się zderzyła - wysoką, postawną, zgrabną młodą brunetkę o dużych piwnych oczach i pełnej uroku twarzy, siostrę oddziałową Megan Rodner.

- Oto skutki niepotrzebnego pośpiechu - powiedziała Megan zatroskanym, lecz jednak łagodnym i w żadnym wypadku nie oskarżycielskim tonem.

- Dziewczyno nie masz innego wyjścia, jak tylko przyznać się profesorowi, że miałaś... mhm... wypadek, no i że pobrany od pani Dodds wycinek, który miał właśnie przebadać, znalazł się... mhm... na podłodze.

- Ojej, siostro Rodner - jęknęła pielęgniarzeczka - proszę, tylko nie to! Ja się... ja się boję profesora van Belfelda. On umie jakoś tak spojrzeć... Nic nawet nie mówi, jak w zeszłym tygodniu, kiedy upuściłam kleszcze, tylko spogląda, a już człowieka ciarki przechodzą! Boję się z nim rozmawiać, siostro Rodner. Nie mogłabym wytłumaczyć się profesorowi na piśmie? Siostro Rodner, proszę!

- No nie, bez przesady. - Choć sytuacja była niewątpliwie kłopotliwa, Megan zdobyła się nawet na uśmiech, chcąc jakoś uspokoić siostrzyczkę, której najwyraźniej zbierało się na płacz. - Wracaj na oddział, zgłoś się do siostry Morgan i poproś, żeby ci przydzieliła jakieś zajęcie. Przy pracy najłatwiej się pozbierasz. A ja pójdę sama do profesora i spróbuję załagodzić sprawę.

- Och, siostrzo, jaka pani kochana, dziękuję, zrobię wszystko, będę pracowała bez wytchnienia...

- Dobrze już, dobrze, biegnij na oddział. To znaczy, nie! Lepiej nie biegnij. Idź...

Pielęgniareczka z ulgą ulotniła się z miejsca wypadku. Megan została sama. Zamyśliła się w zakłopotaniu. Wynik analizy patologicznej miał przesądzić o skuteczności kuracji, jakiej od kilku dni poddawano na jej oddziale jedną z pacjentek, panią Dodds. Pobrano wycinek. I przez taki głupi pech wszystko poszło na marne! Trzeba będzie powtórzyć tę samą kurację i pacjentka będzie miała nowe pretensje, a i bez tego jej współpraca z personelem nie układała się najlepiej. No i profesor... Nic nie powie, jak zwykle, ale na pewno nieźle się zdenerwuje. Mhm... To chyba nic przyjemnego być takim zimnym i milczącym facetem, który zawsze kryje wszystko pod maską obojętnej uprzejmości i nigdy nie pozwala sobie na rozładowanie napięcia...

Megan skierowała się korytarzem, a potem odgałęziającym się od niego wąskim, ciemnym korytarzykiem ku wejściu do laboratorium patologicznego. Składało się ono z kilku obszernych amfiladowych pomieszczeń. Megan przechodziła przez nie kolejno, rzucając raz po raz krótkie „dzień dobry” pracującym tu ludziom, aż dotarła do zamkniętych drzwi gabinetu. Zastukała. Usłyszawszy lakoniczne „Tak?”, weszła do środka.

Profesor van Belfeld, wysoki, barczysty mężczyzna o jasnych, bujnych, ale dość gęsto już przyprószonych siwizną włosach, siedział za biurkiem i w skupieniu coś pisał,

- Tak? - powtórzył raz jeszcze, nie podnosząc wzroku znad papierów.

- Siostra Rodner, sir, pielęgniarka oddziałowa - zameldowała się służbowo Megan. - Wycinek, na który pan czeka...

- Dziękuję, proszę zostawić tutaj, tę analizę będę robił osobiście - profesor przerwał jej dalsze wyjaśnienia.

- No właśnie... obawiam się... to raczej będzie niemożliwe, sir. Ten wycinek uległ... mhm... uszkodzeniu...

Profesor spojrzał wreszcie na Megan. Zimne, jasnyniebieskie oczy. Szlachetna w rysach twarz, która w pewnych momentach, takich właśnie, jak teraz, robiła się... Jak to określić? Najlepiej może - wyniosła? Czy raczej - nieprzenikniona?

- Gdzie on jest? - To zasadnicze pytanie zostało wypowiedziane stłumionym głosem przez mocno zaciśnięte wargi.

- W korytarzu...

Profesor wstał. Megan, pomimo wysokiego, jak na kobietę, wzrostu, poczuła się przy nim z miejsca całkiem nieduża. A cóż dopiero miały powiedzieć pielęgniarki o znacznie mniej posagowych sylwetkach?

- Chodźmy, siostrze, i spójrzmy na to, proszę mnie zaprowadzić.

Profesor otworzył drzwi, przepuścił Megan przodem i ruszył za nią na miejsce wypadku. Gdy tam dotarli, przykucnął nad potłuczonym szkłem i z pasją, choć nadal po cichu, wypowiedział kilka niezrozumiałych słów. Megan domyśliła się, że były to pewnie jakieś holenderskie przekleństwa, ale bynajmniej nie miała mu ich za złe.

- Czy to pani, siostró Rodner? - zapytał po chwili.

- To po prostu pech, sir - odparła Megan, odważnie patrząc mu prosto w oczy.

- Domyślam się, że pech, siostró Rodner. I jeszcze się domyślam, że próbuje pani kogoś przede mną kryć.

Megan milczała.

- Czy mam rozumieć, że boi się pani powiedzieć, kto potłukł to szkło i zniszczył preparat?

- Na Boga, nie, sir! Przecież wszystkie nie możemy się pana bać, musi być chociaż jeden wyjątek!

Profesor w żaden sposób nie zareagował na drobną złośliwość ze strony Megan. Powiedział tylko obojętnym tonem:

- Proszę z łaski swojej powtórnie zastosować u pacjentki te same leki, siostró, i powiadomić mnie, kiedy cykl się zakończy. Przyślę kogoś z mojego laboratorium, żeby powtórnie pobrał wycinek i osobiście mi go dostarczył.

- Rozumiem, sir, osobiście, wszystko będzie tak, jak pan sobie życzy - zgodziła się skwapliwie Megan.

- To bardzo miłe z pana strony, że nie jest pan na nas zanadto zdenerwowany - dodała z ulgą i lekkim uśmiechem.

- Zdenerwowany? Ja jestem po prostu wściekły, siostró Rodner - odpalił profesor, po czym dorzucił:

- Życzę miłego dnia...

Megan uśmiechnęła się jeszcze raz i ruszyła w stronę swojego oddziału. Profesor stał w miejscu i spoglądał za nią. Wrócił do gabinetu dopiero wówczas, kiedy zgrabna, trochę posągowa sylwetka w ciemnoniebieskim uniformie i pielęgniarskim czepku zniknęła mu z oczu za zakrętem korytarza.

Na oddziale Megan najpierw przez długich piętnaście minut tłumaczyła pani Dodds, dlaczego trzeba będzie powtórzyć jej badanie, a potem schroniła się w swoim

służbowym pokoju pielęgniarki oddziałowej, żeby pokrzepić się herbatą i pouzupełniać brakujące wpisy w książce dyżurów. Po chwili zajrzała do niej Jenny Morgan.

- Wysłałam tę małą Wells do magazynku pościeli, Megan. Sprząta tam trochę - zameldowała. - I ciągle płacze - dorzuciła po krótkiej pauzie.

- Nie dziw się, Jenny, musi jakoś odreagować to, co przeżyła. Niech lepiej posiedzi jeszcze trochę w tym magazynku, trzeba ją będzie tymczasem zastąpić na sali...

Jenny, prywatnie przyjaciółka, a w pracy zastępczyni, prawa ręka Megan, również zrobiła sobie herbaty i przysiadła z filiżanką w ręku.

- Wściekał się? - zapytała z ciekawością.

- Owszem, ale w bardzo kulturalny sposób - odparła Megan. - Przyśle kogoś od siebie, żeby mu zaniósł ten następny wycinek.

- No, to dzięki Bogu - westchnęła z ulgą Jenny. - A swoją drogą, trochę dziwny z niego facet, prawda? Nikt o nim nic nie wie. Małomówny, zamknięty w sobie. W dodatku Holender. Może zakochany? - Jenny, która wciąż się w kimś tam zakochiwała i odkochiwała, miała pełne zrozumienie dla wszelkich ludzkich dziwactw wynikających z niepokojów serca.

Megan spojrzała na koleżankę z trochę kpiarskim uśmiechem.

- Oj, Jenny, Jenny... Idę o zakład - odezwała się z przekonaniem - że nasz profesor van Belfeld to szczęśliwy holenderski małżonek i szacowny holenderski ojciec co najmniej szóstki młodych Holendrów płci obojga.

Jenny wzruszyła na znak niewiedzy ramionami i wyszła. Megan dokończyła papierkową robotę i zamyśliła się. Wieczorem czekało ją coś zupełnie szczególnego: pierwsze spotkanie z rodzicami Oscara. Zaręczyli się już sześć miesięcy

temu i teraz, gdy perspektywa ślubu stawała się powoli coraz bardziej konkretna, miała wreszcie ich poznać. Oscar ukończył medycynę, w szpitalu Regent's odbywał swój lekarski staż. Miał opinię energicznego młodego człowieka o obiecującej przyszłości. Zwrócił na Megan uwagę mniej więcej przed rokiem, zaczęli się spotykać, nastąpiły oświadczenia, zostały przyjęte... Megan lubiła Oscara i w pełni doceniała jego niewątpliwe zalety. A ponieważ właśnie skończyła dwadzieścia osiem wiosen, to choć nie była zakochana po uszy, zgodziła się przyjąć rolę oficjalnej kandydatki na przyszłą panią Fielding. Mimo że wcześniej kilkakrotnie zdarzało jej się odmawiać ręki rozmaitym pretendantom właśnie z powodu niechęci do wiązania się bez wielkiego, szaleńczego uczucia. Zawsze chciała spotkać mężczyznę, który rozkochałby ją w sobie bez pamięci i nie pozostawił cienia wątpliwości, że życie bez niego nie byłoby możliwe. Lecz, jak dotąd, niestety nie spotkała. Usłuchiwała więc podszeptów zdrowego rozsądku. Uznała, że oczekuje zbyt wiele i że do małżeńskiego sukcesu powinno wystarczyć wzajemne przywiązanie, wsparte jaką taką zbieżnością zainteresowań i oczekiwań.

Zgodziwszy się zostać żoną Oscara Fieldinga, Megan podjęła wszelkie starania, by dopasować się do jego wyobrażeń na temat: „Jaka powinna być kobieta?”. Przede wszystkim, nie nazbyt rozrzutna. Po co wydawać tyle pieniędzy na stroje, skoro większą część dnia i tak się spędza w służbowym uniformie? Czy naprawdę koniecznie trzeba nosić ekskluzywne i piekielnie drogie włoskie buciki, skoro w sprzedaży jest tyle innych, tańszych? Tego typu uwagi Oscar robił od czasu do czasu, mimochodem. Poza tym był zawsze dla niej bardzo miły i bynajmniej nie ujawniał cech skąpca. Nigdy nie pozwalał narzeczonej płacić za siebie, gdy wychodzili gdzieś razem. Nie nakłaniał jej do robienia

oszczędności na wspólną przyszłość. Po prostu tylko... Cóż, Megan nie była tak do końca pewna, czy w pełni odpowiada jego ideałowi życiowej partnerki.

O piątej Megan przekazała pieczę nad oddziałem w ręce Jenny.

- Wychodzisz gdzieś?

- Tak, z Oscarem. Mam poznać jego rodzinę.

- O, to poważna sprawa! Powodzenia...

W swoim pokoju w hotelu dla pielęgniarek Megan zaczęła się głowić, co powinna na ten wieczór włożyć. Oczywiście coś stosownego. Tylko jaki strój uznać za stosowny na spotkanie z przyszłymi teściami? Ostatecznie zdecydowała się na sukienkę z błękitnego jedwabiu, pod szyję i z długimi rękawami. Dobrała do niej najskromniejsze ze swych włoskich bucików. Jako okrycie narzuciła długi, obszerny ciemnoniebieski płaszcz ze znakomitej gatunkowo wełny, który kosztował majątek, lecz wart był tego ze względu na swą jakość i elegancję. Wzięła torebkę i rękawiczki. Wyszła...

Oscar czekał na nią w umówionym miejscu przy wejściu do szpitala, w towarzystwie... profesora van Belfelda, z którym prowadził jakąś najwyraźniej bardzo zajmującą dyskusję. Megan, nie pesząc się obecnością holenderskiego patologa, śmiało podeszła bliżej.

- Dobry wieczór, sir. Dobry wieczór, Oscarze.

Van Belfeld odpowiedział na pozdrowienie niewyraźnym mruknięciem, a Oscar, trochę onieśmielony sytuacją, odezwał się:

- Witaj, Megan. Znasz oczywiście pana profesora, prawda?

- Oczywiście, znam. - Megan z uśmiechem skinęła głową.

- No to nie pozwólcie, bym was tu dłużej zatrzymywał - w tonie głosu profesora zabrzmiała nieoczekiwane jakaś

dobroduszna, niemal ojcowska nutka. - Życzę wam bardzo miłego wieczoru.

- Dziękujemy, sir. Jestem pewien, że będzie miło - rozpromienił się Oscar. - Megan spotyka się dziś po raz pierwszy z moimi rodzicami.

- Ach, tak! To wspaniale. - Wypowiedziane przez profesora entuzjastyczne słowa ostro kontrastowały ze znów po dawnemu chłodnym tonem jego głosu i obojętnym wyrazem twarzy.

Zerknął na zaręczynowy pierścionek z brylantem, jaki Megan nosiła na palcu. Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, gdy wsiadała do dość sfatygowanego samochodu Oscara, a potem odwrócił się na pięcie i odszedł w głąb szpitalnego budynku.

Rodzice Oscara, którzy mieszkali na stałe w Essex, mieli zwyczaj raz w roku przyjeżdżać na kilka dni do Londynu. Zatrzymywali się w jakimś skromnym hotelu, szli na koncert, do teatru... I oczywiście spotykali się z synem. Tym razem mieli się spotkać także z przyszłą synową.

Megan była bardzo zdenerwowana. Co będzie, jeśli nie spodoba się państwu Fieldingom? A co będzie, jeśli oni jej się nie spodobają? W drodze próbowała podzielić się swymi wątpliwościami i rozterkami z Oscarem. On jednak tylko się roześmiał i odrzekł:

- Dziewczyno, nie martw się na zapas! Na pewno się nawzajem polubicie. Bo niby czemu nie?

Prawda, czemu nie... Jednak już od pierwszego momentu, kiedy spotkali się w czwórce w na wpół opustoszałym hotelowym barze, Megan nabrała przekonania, że ona i matka Oscara mają niewiele szans na wzajemną sympatię. Były wprawdzie zwyczajowe cmoknięcia w policzek, a raczej w powietrze tuż obok, było zgodne stwierdzenie, że bardzo miło się poznać, była nad wyraz uprzejma wymiana uwag o

pogodzie, ale... Jedyłą pociechę w całej sytuacji stanowił fakt, że pan Fielding, mężczyzna niewysoki, z drobnym wąsikiem i miną typu „przepraszam, że żyję”, wydał się Megan znacznie sympatyczniejszy od swej połowicy.

Po prezentacji i przywitaniu zajęto miejsca przy stoliku. Zamówiono drinka, gin z tonikiem, za którym Megan akurat nie przepadała, podjęto dalszą rozmowę. Ściśle biorąc, Oscar zaczął rozmawiać z ojcem, a Megan dostała się w krzyżowy ogień pytań pani Fielding. O dotychczasowe życie, o rodzinę, o szkołę, o wiek, o to, czy jest domatorką i lubi domowe zajęcia...

- Bo widzisz, moje dziecko - perorowała przyszła teściowa - kobieta powinna być przede wszystkim strażniczką domowego ogniska. Nie można zawracać sobie głowy żadną tam karierą, gdy ma się już męża, o którego należy się troszczyć, no a potem, ma się rozumieć, również dzieci.

Słuchając tych słów Megan zaczęła się trochę uważniej przyglądać swej rozmówczyni. Pani Fielding była niska i korpulentna, miała ostry nosek i cokolwiek świdrujące spojrzenie. Jej ubiór dawało się określić jako... w każdym razie skompletowany zgodnie z wymogami gospodarności i oszczędności. Fryzurę, niestety, już tylko jako straszliwą. Oscar zapewniał Megan, że jego rodzicom nieźle się powodzi; nie miała podstaw, by wątpić w prawdziwość jego słów. Pewnie więc tylko nie lubią być rozrzutni. To przypuszczenie jednoznacznie potwierdziło się w chwili, gdy przyszło do zamawiania posiłku. Pani Fielding autorytatywnie stwierdziła, że najlepiej zadysponować gotowy zestaw potraw, ten z rabatem.

- Na pewno będzie wszystkim smakowało - orzekła tonem nie dopuszczającym najmniejszego sprzeciwu z czyjejkolwiek strony. - Dodatkowo weźmiemy po lampce wina i kwita!

Megan nie wypadało robić żadnych uwag, Oscar najwyraźniej nie chciał się sprzeciwiać matce. Skwapliwie zgodził się z jej zdaniem i w kwestii menu, i na przykład odnośnie tego, że kiedy on i Megan się pobiorą, będą mogli urządzić mieszkanie meblami, których wystarczająco dużo państwo Fieldingowie zgromadzili na strychu.

- A jakie to meble? - spytała nieco zaszokowana Megan.

- Och, najrozmaitsze, moje dziecko, wszystkie w bardzo dobrym stanie: stoły, krzesła, ogromny kredens. Jest też kilka bardzo porządnych dywanów, jeszcze po moich rodzicach. I coś tam po rodzicach męża. Bardzo praktyczne komody, fikuśna etażerka...

Megan, nie mając całkowitej pewności, co pani Fielding rozumie pod pojęciem rzeczy porządnych, praktycznych, w dobrym stanie, a zwłaszcza fikuśnych, wolała nie kontynuować rozmowy na temat mebli ze strychu. Pomyślała, że przy sposobności omówi tę kwestię z samym Oscarem. I spróbuje go przekonać, że wolałaby jednak zdecydować o wyglądzie ich wspólnego domu tylko z nim, we dwoje.

Wspólny dom... A właściwie, gdzie miałyby on być? Jakoś do tej pory nie znaleźli okazji do porozmawiania na ten temat.

- Oscar, co ty właściwie chciałbyś robić po stażu w Regent's? - zapytała Megan, gdy narzeczony, już po spotkaniu, odwoził ją z powrotem do pielęgniarskiego hotelu.

- Ja? Najchętniej bym tu został, ma się rozumieć pod warunkiem awansu. A jakby nie było etatu? Mhm, tyle jest szpitali w Londynie...

- A co ze mną?

- Z tobą? No, jakbym dostał etat z mieszkaniem służbowym, to byśmy byli od samego początku razem na stałe. A jakby nie? Myślę, że mogłabyś pomieszkać jakiś czas u moich staruszków. To przecież nie tak daleko, tylko parę

godzin jazdy samochodem. Wpadałbym na wszystkie weekendy i inne wolne dni.

- Oscar, nie mówisz poważnie, prawda?

- Jak to nie! Całkiem poważnie. Po co tracić forszę na wynajmowanie mieszkania czy nawet pokoju, jak można się wygodnie na parę lat zakotwiczyć tylko za cenę papu? Każda rozsądna dziewczyna...

Przerwał nie kończąc zdania i roześmiał się.

- No, nic się nie martw, głowa do góry, wszystko będzie dobrze!

Megan spojrzała na niego uważnie. Miał sympatyczną twarz i dobroduszną, trochę rozbijającą minę. W ciągu kilku lat powinien wyrobić sobie solidną pozycję w zawodzie, podjąć samodzielną praktykę i nieźle prosperować. Twierdził, że bardzo ją lubi, chociaż czasem robił wrażenie, jakby naprawdę uwielbiał wyłącznie swoją pracę. Ogólny bilans - mimo wszystko niezły. A że nie był w stanie rozkochać jej w sobie na zabój? Ten problem już dawno uznała za mało istotny. Chociaż, może było jej jednak trochę żal tej wymarzonej, wielkiej, szaleńczej miłości?

Oscar podwiózł Megan przed sam szpital, wysiadł z nią i podprowadził do drzwi. Stanęli na chwilę.

- Od jutra ostry dyżur...

- No, tak. Trudno będzie wykroić czas dla siebie. Kiedy masz wolny weekend? - spytał Oscar.

- Za dwa tygodnie.

- Może i ja bym wykombinował dla siebie wolne...

- Mógłbyś? Oscar, byłaby świetna okazja wyskoczyć do moich rodziców, poznałbyś mamę, tatę i resztę!

- Zobaczę, co się da zrobić. Tymczasem śpij dobrze, Megan.

Cmoknął ją lekko w policzek.

- Ty również, Oscarze. Dobranoc.

W swoim pokoju, już w łóżku, zaczęła rozmyślać o wydarzeniach minionego wieczoru. Matka Oscara... No, cóż, może jednak z czasem polubią się nawzajem choć trochę? Chociaż... Megan zdawała sobie sprawę, że chcąc do tego doprowadzić musiałaby chyba stać się kimś zupełnie innym niż jest: nieśmiałą, potulną trusią, co to wszystkiego się boi i zawsze woli się podporządkować, nawet wbrew sobie. Wtedy może...

Zasnęła, nie zdążywszy znaleźć sposobu, w jaki miałaby taką radykalną przemianę osiągnąć. A następnego dnia rano, w pracy, natychmiast uznała cały pomysł za absurdalny. Potulna i nieśmiała pielęgniarka oddziałowa? A kto by się wtedy wyklócał z szefem pralni o dodatkowe zmiany bielizny pościelowej? Albo o medykamenty z kierownikiem apteki, beznadziejnym facetem, który miał paskudny, nieznośny zwyczaj odrzucać w pierwszej chwili prawie każde złożone zamówienie?

Ciężkie, pracowite przedpołudnie wlokło się w nieskończoność. Wreszcie nastąpiła chwila wytchnienia: obiad. Zaledwie jednak Megan zdołała przełknąć parę kęsów, wezwano ją pilnie na oddział. Czyżby jakiś wypadek drogowy? Okazało się, że nawet dwa, w tym samym czasie. I dwie ofiary, młode kobiety, obie ze zranieniami głowy. Muszą być błyskawicznie przygotowane do operacji, a bardzo trudno sobie z nimi poradzić, bo z powodu urazów mózgu są, mimo utraty przytomności, wyjątkowo niespokojne, wciąż wykonują gwałtowne, nieskoordynowane ruchy, nie dają się ułożyć do zbadania.

- Siostró, proszę sobie ściągnąć do pomocy kogoś z patologii, są teraz wolniejsi - doradził doktor Bright, dyżurny chirurg.

Megan przyznała mu rację i zadzwoniła do cichego laboratorium na ostatnim piętrze. Odebrał sam profesor van Belfeld.

- Doskonale rozumiem sytuację, sestro Rodner. Zaraz ktoś od nas tam u pani będzie - odpowiedział.

I ku ogromnemu zaskoczeniu Megan po chwili sam pojawił się na oddziale!

Przydał się bardzo. Przy całym swym opanowaniu i delikatności okazał się mężczyzną wyjątkowo silnym. Bez trudu sam uporał się z tym, z czym Megan i pozostałe pielęgniarki, pomimo wyłożonych starań, doprawdy nie były w stanie sobie poradzić.

Ofiary wypadków skierowano w końcu na salę operacyjną, a stamtąd na intensywną terapię. Na oddziale sytuacja wróciła do normy, ale dzień był dla Megan aż do końca dyżuru wyjątkowo męczący.

Wreszcie zakończył się, mogła odetchnąć. Skierowała się ciągiem szpitalnych korytarzy i schodów ku usytuowanej w suterenie stołówce dla personelu. Idąc, rozmyślała o kolacji, a także o tym, że później, w pokoju, to już tylko filiżanka herbaty, gorąca kąpiel i spać!

W holu na parterze natknęła się na profesora van Belfelda. Szedł bez pośpiechu w stronę wyjściowych drzwi i Megan pomyślała, że pewnie wybiera się już do domu... Tylko dlaczego tak późno? Na jego stanowisku nie trzeba przecież brać nadgodzin.

Van Belfeld zauważył ją również.

- Ciężki dzień, sestro Rodner, prawda? - zadał retoryczne pytanie i nie czekając na odpowiedź dodał: - Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała Megan.

Patrzyła za nim, gdy wychodził, wsiadał do samochodu i odjeżdżał. Przez chwilę miała wielką ochotę przejechać się wraz z profesorem tym jego szarym rolls - roycem, zobaczyć

gdzie i jak mieszka. W końcu jednak wzruszyła tylko ramionami, dziwiąc się własnym pomysłem, i ruszyła szybkim krokiem w swoją stronę.

Ostry dyżur trwał przez cały tydzień, od wtorku do środy. Wszystkie dni, nie wyłączając weekendu, były równie pracowite jak ten pierwszy. Wypadki drogowe, wypadki przy pracy w porozmieszczanych licznie w rejonie Regent's, na północnym brzegu Tamizy, warsztatach i niewielkich fabryczkach, zranienia w chuligańskich bójkach między członkami młodzieżowych gangów. Bezustanna, wyczerpująca robota. Nerwowy pośpiech. Ciągły ruch. Normalna sytuacja w dyżurującym szpitalu, w dodatku w niezbyt ekskluzywnej dzielnicy.

Z Oscarem Megan miała okazję się spotykać jedynie w przelocie, raz czy dwa wypili razem kawę, to wszystko. Myślała jednak z ulgą, że przyszedł weekend zapowiada się na szczęście całkiem inaczej. Wyjadą razem, odwiedzą jej najbliższych... Powinno być naprawdę miło. A później? Później czekała ją przeprowadzka! Zdecydowała się bowiem wynająć nieduże, ale samodzielne mieszkanko w pobliżu szpitala, które wychodząc za męża miała właśnie zwolnić jedna z pielęgniarek, instrumentariuszka. Mieszkanko - niby nic ciekawego - niski parter, prawie że suterena, podniszczony domek, którego starszawy właściciel sam zajmował parter, a piętérko odstępował innej jeszcze lokatorce, paniusi w podeszłym wieku, niezwykle, jak powiadał, szacownej i kulturalnej damie. Zawsze jednak nie hotel, cieszyła się Megan, choć Oscar bynajmniej nie był zachwycony. Krzywił się, że nowe mieszkanie to przecież zawsze jakieś nowe wydatki, więc skoro można wygodnie mieszkać w hotelu... Starła się go przekonać, że jednak dom to dom, coś zupełnie innego, szczególnego. W każdej chwili będą mogli się

spotkać. Zjeść razem przyrządzony przez nią obiad czy kolację...

Reszta tygodnia, po ostrym dyżurze, minęła typowo. Operacje, zabiegi, leki, posiłki, przyjęcia, wypisy, wyznaczanie pracy pielęgniarce i obsłudze, niezmiennie utarczki z pralnią i apteką. W ciągu czterech lat pracy na stanowisku oddziałowej zdołała już to wszystko opanować do perfekcji.

W sobotę wybrała się do swego przyszłego mieszkania. Dotychczasowa lokatorka była już prawie gotowa do wyprowadzki. Megan zdecydowała się odkupić od niej większość skromnego umeblowania, a także przejąć w spadku bezdomnego kota, który się nie tak dawno przybłąkał. Był trochę nieufny, ale naprawdę sympatyczny; w zamian za odrobinę troski można się było z jego strony spodziewać przywiązania i miłych wieczornych mrużanek.

Następnego dnia, w niedzielę, Megan i Oscar wyjechali z Londynu wczesnym rankiem, kierując się ku Aylesbury, głównemu miastu w hrabstwie Buckinghamshire, a stamtąd ku małemu prowincjonalnemu miasteczku Thame. Na północ od Thame, w niewielkiej wiosce o nazwie Little Swanley, znajdował się dom rodzinny Megan. Tu przyszła na świat, tu się wychowała i bardzo lubiła to miejsce. Mimo zadowolenia z pracy w londyńskim szpitalu, starała się wyrwać na wieś, kiedy tylko to było możliwe. Przyjeżdżała tu swoim kupionym z drugiej ręki mini morrisem na wszystkie wolne weekendy. I miała nadzieję, po trosze wręcz spodziewała się, że po ślubie osiadą w Little Swanley z Oscarem. Dlatego nie bardzo była zachwycona jego pomysłem pozostania po stażu w Londynie. Liczyła jednak na to, że dzień spędzony w uroczej wiejskiej okolicy wpłynie w jakiś sposób na zmianę planów przyszłego małżonka.

Do Little Swanley było, licząc bezpośrednio od Regent's, trochę ponad sto kilometrów.

- Gdybyśmy pojechali autostradą, a nie tą nieszczęsną A 41 przez te wszystkie miejsciny, byłoby szybciej - napomknął Oscar gdzieś w drodze.

- Wiem, pokierowałam cię tędy, bo trasa jest znacznie sympatyczniejsza - wyjaśniła Megan. - Nie lubię jazdy autostradą. No, ale jak chcesz, to możemy nią wracać - dodała.

Szczerze mówiąc, troszeczkę rozczarował ją tak wyraźnie widoczny u Oscara brak wrażliwości na uroki wiejskiego pejzażu. A przecież po londyńskiej szarości i ciasnocie jazda poprzez odkryte, rozległe, malowniczo pofałdowane przestrzenie pastwisk i pól była czymś po prostu fantastycznym!

Wąska droga zwęziła się w pewnym momencie jeszcze bardziej i zaczęła łagodnie opadać z wzniesienia ku niewielkiej niecce. Ukazała się kościelna wieża, stary, zabytkowy dwór, kryte czerwoną dachówką domy i domki. Megan odczuła, jak zawsze na ten widok, lekki dreszcz uniesienia, radości. Little Swanley. Jej ukochane Little Swanley!

- Jedź drogą przez wieś - pokierowała Oscara. - Nasz dom to ten pierwszy po lewej, z białą bramą.

Brama była otwarta, Oscar podjechał niemal bezpośrednio przed drzwi, również gościnnie otwarte na oścież. Dom, dość obszerny, stary, bo jeszcze siedemnastowieczny, miał białe ściany z ciemnymi belkowaniami i drewniane okiennice. Stał w otoczeniu rozłożystych drzew. Od drogi i bramy wjazdowej oddzielał go starannie utrzymany trawnik z klombami pełnymi kwiatów.

- Jesteśmy w domu! - zawołała, zwracając ku Oscarowi radosną, rozpromienioną twarz. - Chodźmy do środka, mama na pewno czeka!

Matka Megan, niewiasta wciąż piękna, postawna, niemal dorównująca córce wzrostem, stała już w drzwiach.

- Kochanie, nareszcie jesteś i nareszcie przywiozłaś ze sobą Oscara. Tak bardzo czekaliśmy na to spotkanie - mówiła, najpierw obejmując córkę, a potem ściskając dłoń jej narzeczonemu. - Proszę, proszę dalej! A oto i mój mąż.

Pan Rodner oczekiwał gości w holu, w okularach na nosie i z plikiem niedzielnych gazet pod pachą. Był znacznie starszy od żony. Miał już całkiem siwe, choć nadal gęste włosy i godne, dystyngowane oblicze. Megan serdecznie uściskała ojca i przedstawiła mu Oscara.

- A gdzie pozostali domownicy? - zapytała po dokonaniu prezentacji.

- Są w kościele - wyjaśniła matka. - Będą z powrotem za jakieś pół godzinki. Akurat zdążymy wypić kawę i troszkę sobie pogawędzić.

Pozostali domownicy, to znaczy młodsza, choć także już dorosła siostra Megan - Melanie i dużo młodszy od nich obydwu brat Colin, jeszcze uczeń, istotnie zjawili się niebawem. Melanie była zupełnie niepodobna do matki i Megan. Drobna, niewysoka, jasnowłosa i niebieskooka, wiotka, łagodna i bardzo nieśmiała, zdawała się dosłownie niknąć przy rezolutnej i posągowej siostrze. A jednak Oscar, gdy tylko ją zobaczył, wręcz nie mógł oderwać od niej wzroku. Zaczęli rozmawiać. Melanie, początkowo ogromnie skrepowana, po jakimś czasie wyraźnie się ożywiła. Megan obserwowała tę przemianę bardzo życzliwie, była po prostu zadowolona, że Oscar dobrze się poczuł w jej rodzinnym domu i że zrobił tu sympatyczne wrażenie. Zostawiła go w towarzystwie siostry i ojca, a sama przeszła z Colinem do ogrodu, żeby obejrzeć hodowane przez niego króliki i przy okazji trochę posłuchać paplaniny o szkolnych perypetiach.

Potem skierowała się do kuchni, chcąc pomóc matce przy podawaniu obiadu.

Po obiedzie obie również oddzieliły się od reszty towarzystwa, by pozmywać, przygotować herbatę, no i trochę po kobiecemu poplotkować.

- Podoba mi się ten młody człowiek - zaczęła matka, przecierając szkło na wyjątkowe okazje. - Wydaje się taki rozsądny, solidny, poważny. Powinien być dobrym mężem, kochanie.

- Tak, powinien, tylko że... - Megan zawahała się przez moment - ...że właściwie to nie wiem, mamo, kiedy będziemy mogli się pobrać. Na razie wszystko musi chyba zostać tak jak jest, przez jakiś czas, może nawet dosyć długo. Oscar ma chęć zostać po stażu w Londynie, w klinice, ja raczej wolałabym, żeby podjął praktykę na prowincji. Mimo że przecież lubię swoją pracę, szpital, to jednak nie najlepiej czuję się w wielkim mieście...

- Może uda ci się jakoś na niego wpłynąć? - Pani Rodner starała się uspokoić trochę rozdrażnioną, czy może raczej rozżaloną, córkę. - Oscar nie myśli chyba o specjalizacji, prawda?

- Nie, ale chciałby zdobyć jak najwyższe kwalifikacje w zawodzie, a to oznacza kilka lat pracy w dużym szpitalu.

Megan na chwilę zamilkła.

- Kochanie, a jak ci się spodobali jego rodzice? - spytała matka, zmieniając trochę temat.

- No cóż, pan Fielding jest całkiem miły, chociaż zupełnie inny od naszego taty. A pani Fielding? Mhm... - Megan zawiesiła głos, zupełnie jakby chciała skoncentrować się wyłącznie na tym, czym się akurat zajmowała, to jest na polerowaniu sztućców. - Próbowałam ją zaakceptować, mamo, ale chyba mi się nie udało. Ja też się jej nie bardzo

spodobałam. Powiedziała mi, że nie przepada za pracującymi dziewczętami.

- Przecież po ślubie chyba zrezygnowałabyś z pracy, prawda?

- Tak myślę. Oscar na to nalega... Wyobraź sobie, mamó, on sobie zaplanował, że kiedy po stażu będzie pracował w klinice w Londynie, ja zamieszkać u jego rodziców w Essex.

- Nie, to nie miałyby sensu! - Pani Rodner była najwyraźniej zdegustowana. - Cóż byś tam robiła przez całe dni, tak czy inaczej w cudzym przecież domu. Teraz samodzielnie prowadzisz szpitalny oddział, a potem miałybyś grać drugie skrzypce przy matce Oscara, za którą na dodatek szczególnie nie przepadasz? Przecież to byłoby dla ciebie nie do zniesienia!

- No to co powinnam twoim zdaniem zrobić, mamó? - zapytała Megan trochę zniecierpliwionym tonem. - Jak rozwiązać ten problem?

- Przede wszystkim powinnaś spokojnie poczekać na dalszy obrót spraw. Wiem, że to wcale nie takie łatwe, kochanie, jednak innego rozwiązania nie widzę, naprawdę - odpowiedziała matka.

Wieczorem, po kolacji, Megan po kolei wyściskała i wycalowała wszystkich swoich najbliższych, wygłaskała podstarzałego już domowego labradora Janusa i kotkę Candy oraz każde z gromadki jej kociąt, i ruszyła wraz z Oscarem w drogę powrotną do Londynu.

- No i jak? Spodobała ci się moja rodzinka? - spytała narzeczonego w którymś momencie podczas jazdy.

- Bardzo. Ten twój brat to piekielnie bystry chłopak, prawda? Pewnie dobrze się uczy...

- O, tak, nie najgorzej. Tata chce, żeby poszedł w jego ślady i też został prawnikiem. No i z czasem przejął kancelarię...

- A twoja siostra - ciągnął dalej Oscar - wydała mi się po prostu urocza. Taki wstydlivy anioł... Zupełnie inna niż ty. No, tylko nie zrozum mnie źle! - zastrzegł się, kiedy Megan wybuchnęła głośnym śmiechem. - Pracuje?

- Melanie? Nie. Trochę tylko rysuje i maluje dla własnej przyjemności, ma spore zdolności plastyczne. No i pomaga mamie. Jest świetna w domowych zajęciach, takich typowo kobiecych, wiesz, szycie, gotowanie...

- O, właśnie, te kruche ciasteczka na podwieczorek były po prostu wspaniałe! Twoja Melanie to prawdziwy skarb w kuchni.

Megan, trochę zaskoczona wylewnością i zachwytem Oscara, nie sprostowała nawet, że ciasteczka upiekła sama, w czasie gdy on i Melanie gawędzili w salonie. Postanowiła tymczasem pozostawić go w błędnym przekonaniu, że pracująca dziewczyna z całą pewnością nie może posiadać odpowiednich kwalifikacji kulinarnych. Spodziewała się tym bardziej zaskoczyć Oscara przyrządzoną samodzielnie gorącą kolacją, na jaką planowała go zaprosić do nowego mieszkania.

- To był naprawdę wspaniały dzień - powiedział Oscar przy pożegnaniu. - Już dawno nie byłem w takim doskonałym nastroju!

Megan poczuła się jakoś... nieswojo, usłyszawszy te słowa. Pomyślała, że przecież ostatnio widywali się dość często, trochę więc dziwne, że Oscar dopiero dzisiaj...

Szybko się jednak opanowała i rzekła swoim zwykłym, rezerolutnym tonem:

- Bardzo się cieszę, mam nadzieję, że niedługo powtórzymy taki wypad do Little Swanley. Tymczasem nie zapomnij, że się przeprowadzam i na czwartek zapraszam cię na uroczystą kolację.

- A co planujesz podać? Mrożone danie z supermarketu i rozpuszczalną kawę?

- Założmy, że coś w tym rodzaju - uśmiechnęła się Megan. - Ale głodny nie wyjdiesz, możesz być pewien, przynieś tylko piwo, żeby ci było łatwiej przełknąć to, co upitraszę. Dobranoc.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Megan długo zastanawiała się nad doborem na czwartek takiego menu, które po prostu rzuciłoby Oscara na kolana. Jakby chciała mu koniecznie udowodnić, że szefowa personelu pielęgniarstwa na szpitalnym oddziale też może być „prawdziwym skarbem w kuchni”, o ile, oczywiście, ma na to ochotę.

Poprzednia lokatorka opuściła mieszkanie w poniedziałek. We wtorek po pracy, na dzień przed zaplanowaną ostateczną przeprowadzką, Megan postanowiła przejść się do swego nowego lokum i zanieść tam przy okazji trochę rzeczy. Wpakowała trochę odzieży do nesesera, wrzuciła parę książek do plastikowej reklamówki... Przy wyjściu ze szpitala nieoczekiwanie zatrzymał ją profesor van Belfeld.

- Proszę pozwolić, pomogę - rzekł odbierając Megan bagaże. - Poniosę i podwiozę.

- Jak to? - Megan była tak zaskoczona, że odezwała się aż trochę niemądrze.

- Ano tak, samochodem, do nowego mieszkania. Podwiozę panią, po drodze.

- Ojej, to bardzo miło z pana strony, ale naprawdę nie ma potrzeby...

Profesor nie podjął dyskusji, tylko po prostu wpakował jej rzeczy do zaparkowanego przed szpitalem samochodu. Otworzył drzwi. Pomógł Megan zająć miejsce. Miała okazję się przekonać, że jazda rolls - royce'em jest w istocie tak komfortowa, jak się to opisuje w romansach „z wyższych sfer”. Cel podróży znajdował się niestety bardzo blisko, więc cała przyjemność trwała nie dłużej niż minutę.

Profesor zatrzymał samochód przed sfatygowaną nieruchomością, wysiadł pierwszy i pomógł Megan. Następnie wziął od niej klucze, otworzył drzwi do mieszkania na niskim parterze, zapalił światło, sprawdził, czy wszystko wewnątrz jest w porządku i wrócił do samochodu po bagaż. Ona tymczasem weszła do środka. Lokal był z grubsza wysprzątnięty, najwidoczniej właściciel domu zlecił komuś tę pracę po wyprowadzce poprzedniej lokatorki. Prezentował się wprawdzie trochę ponuro, ale Megan miała nadzieję, że kiedy się na dobre wprowadzi, wymieni zasłony i abażury, ozdobi wnętrze kwiatami, fotografiami i różnymi drobiazgami, a natychmiast stanie się ono bardziej przytulne.

Cofnęła się do ciasnego przedpokoju, żeby podziękować profesorowi za przysługę. Nagle, nie wiadomo skąd, jakby prosto spod nóg, czmychnął kot.

- To pani współlokator? - spytał van Belfeld.

- Poniekąd. Podobno się tu przybłąkał, moja poprzedniczka zaczęła go dokarmiać. Teraz też pewnie jest głodny, muszę mu przynieść trochę mleka.

Profesor wyjrzał na ulicę. Wokół samochodu skupiła się grupka zaciekawionych dzieciaków, dla których obecność w ich dzielnicy prawdziwego rollsa musiała być niewątpliwą atrakcją. Profesor skinął na najroślejszego chłopaka, wydobył z kieszeni trochę drobnych.

- Pięćdziesiąt pensów dla ciebie, bracie, jak szybko skoczysz do sklepu na rogu, kupisz dwie puszki karmy dla kotów i jakieś mleko. Załatwione?

- No, mowa, psze pana...

Chłopak obrócił się na pięcie i pognął załatwić zlecenie.

- Ależ naprawdę nie ma potrzeby... - odezwała się Megan.

- To stworzenie jest głodne, więc trzeba je nakarmić - profesor spokojnie, lecz ostatecznie uciął dalszą dyskusję. - Zamierza pani zostać tu na noc?

- Nie, ostatecznie przeprowadzam się jutro. W czwartek mam wolny dzień, to sobie tu wszystko elegancko uporządkuję. Żeby było naprawdę jak w domu. Bo na wieczór zaprosiłam na powitalną kolację Oscara. To znaczy doktora Fieldinga, stażystę

- dodała gwoli wyjaśnienia.

- Wiem, znamy się - stwierdził sucho profesor. Ton jego głosu speszył trochę Megan. Nie bardzo

wiedziała, jak dalej prowadzić rozmowę, odetchnęła więc z ulgą, gdy zjawił się z powrotem chłopak ze sprawunkami.

- Przekaż to wszystko pani - polecił mu profesor.

- Masz chęć kupić jeszcze jakieś chipsy dla siebie i przyjaciół? - spytał, ponownie sięgając do kieszeni po drobniaki.

Chłopak spojrzał na niego rozpromienionymi oczyma i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- No, mowa, psze pana! Chipsy to fajna sprawa, dzięki! - wykrzyknął i pomknął znów ulicą w stronę sklepu. Reszta dzieciaków skwapliwie podążyła za nim.

Megan podziękowała profesorowi za pomoc. Pożegnał się i odjechał, a ona weszła dalej do środka, by rozpakować rzeczy i nakarmić kocura.

Zwierzę było z całą pewnością głodne, wręcz wychudzone i ogólnie dość zaniedbane. Nie miała jednak wątpliwości, że przy odrobinie troski będzie z niego naprawdę dorodny okaz. Z niego? To znaczy z kogo? Koci znajda był wciąż bezimienny.

- I jak by cię tu nazwać? - zastanawiała się Megan, gładząc zmierzwioną sierść na grzbiecie zwierzaka. - Mój ty bezdomny włóczęgo z Meredith Street... O, właśnie, mam! - zawołała ucieszona z pomysłu. - Będiesz się nazywał Meredith, zgoda?

Uchyliła w kuchni niewielkie okienko, żeby kot, jeśli zechce, mógł się swobodnie wydostać na ogrodzone wysokim ceglanym murem podwórko na tyłach domu. Zostawiła zwierzakowi jeszcze trochę pokarmu w kącie na podłodze, powiedziała mu na pożegnanie, że już jutro dostanie porządną miseczkę, i wróciła na ostatnią noc do hotelu.

Następny dzień był od samego rana znów bardzo pracowity. Szpital przejął kolejny ostry dyżur. Megan miała nawet trochę wyrzutów sumienia z powodu czwartkowej nieobecności, ze względu na Jenny. Pomyślała jednak w końcu, że jej przyjaciółka wypocznie w czasie weekendu, gdy ona będzie „na posterunku”, a co przeprowadzka, to przeprowadzka, jak by nie było wydarzenie szczególne, które przecież nie zdarza się co dzień.

Wieczorem Megan spakowała resztę swoich drobiazków i przenieśli się na dobre do nowego mieszkania. Zjadła kolację, nakarmiła kota, przygotowała sobie posłanie, włączyła gazowy kominek i przysiadła przy nim w fotelu, żeby zrobić listę produktów potrzebnych do przygotowania jutrzejszej uroczystej kolacji. Potem wzięła prysznic w sąsiadującej z kuchnią kabinie łazienkowej, tak ciasnej, że przypominała raczej wnętrze szafy niż normalne pomieszczenie, i położyła się spać.

Kot Meredith z miejsca ulokował się w nogach jej łóżka.

- Będę cię musiała porządnie wykapać i wyszczotkować, kosmaty kocmołuchu, skoro chcesz ze mną sypiać - mruknęła zerkając na błogo wtulonego w koc zwierzaka.

I niemal natychmiast usnęła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego dnia, w czwartek, Megan obudziła się wcześniej i zaraz wstała, uznając, że ma naprawdę mnóstwo rzeczy do zrobienia. Zjadła śniadanie, nakarmiła Meredith, ogarnęła trochę mieszkanie i z koszykiem w ręku pojechała autobusem na większe zakupy przy Mile End Road. Ze sporą ilością warzyw i innych niezbędnych produktów spożywczych szybko wróciła do domu. Wypiła kawę, zjadła bułkę z masłem, znów nakarmiła kota i zrobiła mu wygodne legowisko ze starego wełnianego szala. A potem rozłożyła na kuchennym stole wszystkie zakupy z koszyka. Miała cebulę na zupę cebulową, ziemniaki, włoszczyznę, jagnięcinę na kotlety, na przekąskę sery: stilton i brie...

Pomyślała, że skoro Oscar kończy dyżur o szóstej, zjawi się u niej nie wcześniej niż około wpół do siódmej. Było więc sporo czasu na kucharzenie: najpierw zupa, potem kotlety i sos. Kruche ciasteczka, ma się rozumieć, również. Przygotowawszy wszystko, co zaplanowała, mogła jeszcze spokojnie zająć się fryzurą i makijażem. W końcu przebrała się i zaczęła nakrywać do stołu. Wino... Podczas zakupów zupełnie nie wiedziała, na jakie się zdecydować, ostatecznie wybrała różowe, rose. Miała też trochę piwa. Robiła sobie w myślach wyrzuty, że nie postarała się dodatkowo o sherry na aperitify. Trudno, przepadło, całkiem zapomniała. Zerknęła na przygotowany do uroczystego posiłku stół. Wyglądał zachęcająco. Cały pokój też robił przyjemne wrażenie.

Trochę sfatygowany, ale wygodny fotel przy kominku. Obok mały stoliczek. Duży stół z krzesłami pod oknem. Wbudowany w ścianę kredens, przy nim wiszące półki na książki. W sąsiedztwie rozkładanej otomany, która nocą służyła Megan za posłanie, jeszcze jeden niewielki stolik i wyściełany taboret. Dwie stojące lampy...

Dochodziła szóstka. Megan, uchylając kuchenne okienko, wypuściła Mereditha na dwór, z obietnicą dobrej kolacji po powrocie. Zajął się ostatnimi przygotowaniami.

Minęło wpół do siódmej. Oscara ciągle nie było. Zaczęła się denerwować, że potrawy za mocno się rozgotują albo przypieką. Wreszcie zadzwonił telefon.

- Megan, to ty? - rozległ się w słuchawce podejrzenie wesoły głos Oscara. - Nie gniewaj się, że mnie nie ma, dobrze? Coś mi tu wypadło, to znaczy... No, wiesz, jeden z kolegów właśnie się zaręczył, mamy takie małe przyjęcie.

W tle słów narzeczonego słychać było jakieś śmiechy i śpiewy, głosy nie tylko męskie, ale również kobiece. Megan, starając się o jak najspokojniejszy ton, zapytała:

- To przyjdiesz później?

- Nic z tego, nie dam rady - odparł Oscar wykrętnie i zachichotał. - To ostra impreza, zapowiada się na ładnych parę godzin.

Poczuła, że zaczyna kipieć ze złości. Raz jeszcze jednak stłumiła irytację.

- Ale przecież byliśmy umówieni na dzisiaj - zaczęła tłumaczyć swemu niefrasobliwemu narzeczonemu - zrobiłam zakupy, wszystko przygotowałam...

- Wiesz co? Umówimy się na inny dzień, tymczasem nie rozmrażaj tego, co masz w zamrażalniku!

Tego już było za wiele. Megan bez słowa odłożyła słuchawkę. Poczuła, że aż drży ze zdenerwowania. I pomyślała, że powinna chyba otworzyć to swoje różowe wino, samotnie opróżnić butelkę i kompletnie się zalać z rozpaczy. Może by pomogło? Może by pozwoliło przynajmniej porządnie się wypłakać, a potem nieprzytomnie zasnąć i zapomnieć?

Nieoczekiwanie ktoś zastukał do drzwi. Oscar? Czyżby jednak? Megan szybko przetarła wilgotne oczy i pobiegła

otworzyć. W progu stał... profesor van Belfeld z Meredithem na rękach!

Nie czekając nawet na słowa zachęty, wszedł i ułożył kota na otomanie.

- Jakiś rowerzysta wpadł na niego, tu niedaleko, na rogu. Dobrze, że akurat tamtędy przejeżdżałem, bo kto wie, czy ten biedak sam by się dowłókł do domu - wyjaśnił. - Chociaż - dodał, przyglądając się kotu dokładniej i starannie go obmacując - może nie jest aż tak źle, żadnych zranień nie widzę, kości też całe... Tak, proszę się nie martwić, jest trochę obolały, ale nic mu nie będzie, to tylko stłuczenia. Jak odpocznie, na pewno szybko dojdzie do siebie. No, nie będę dłużej przeszkadzał, pani przecież spodziewa się wizyty...

- Panie profesorze, dziękuję. - Megan poczuła, że z wrażenia i wzruszenia znów zaczynają kręcić jej się w oczach łzy. - Wizyta? Nie, nie będzie żadnej wizyty, Oscar spędza wieczór z kolegami ze szpitala. Sama muszę zjeść wszystko, co przygotowałam, niestety!

Profesor zdjął płaszcz.

- Oto problem nadmiaru - rzekł na pół poważnym, na pół żartobliwym tonem. - A gdybym tak pani pomógł i zjadł połowę tego, co tak apetycznie tu pachnie? Nie byłem dziś na obiedzie - dodał gwoli wyjaśnienia, dostrzegłszy zdziwione spojrzenie Megan.

- Naprawdę? I mógłby pan zostać? Przecież w domu...

- W domu nikt dzisiaj na mnie nie czeka.

- Rozumiem... W takim razie będzie mi bardzo miło. Tylko czy samochód nie ucierpi na tej ciemnej uliczce?

- Nie ma obawy. Zostawiłem na straży kilku tutejszych chłopaków.

- Nie zmarzną?

- Siedzą w środku...

Profesor podszedł do stołu i ujął w dłoń butelkę z winem.

- Jeśli ma pani korkociąg, otworzę - zaproponował. Megan wybiegła do kuchni. Wróciła z korkociągiem i wazą.

- Przepraszam, że nie mogę pana poczęstować żadnym aperitifem, zapomniałam kupić sherry albo whisky, dopiero się zagospodarowuję, nie mam niczego w zapasie.

- Nic nie szkodzi. Zapach tej zupy wystarczająco silnie pobudza mój apetyt. Sama ją pani przyrządziła?

- Tak, oczywiście. Lubię gotować.

Zupa cebulowa z grzankami i parmezanem była nie tylko aromatyczna, ale i bardzo smaczna. Kotlety również. Profesor wydawał się w pełni usatysfakcjonowany wszystkim, nawet niedrogim winem, jakiego pewnie nie miał zwyczaju pijać.

Megan musiała przyznać ze zdziwieniem, że powściągliwy i małomówny Holender okazał się całkiem niekłopotliwym, a nawet zdecydowanie miłym gościem. Prywatnie, odprężony i rozluźniony, robił wrażenie kogoś zupełnie innego niż na co dzień w szpitalu. Często się uśmiechał. Chętnie i swobodnie opowiadał.

O czym? Próbując po jakimś czasie sobie to przypomnieć, Megan była pewna jednego: o wszystkim, tylko nie o własnym życiu. Wspomniał jedynie mimochodem, przy okazji rozmowy na temat wypadku Mereditha, że ma w domu kota i psa. Nie śmiała o nic więcej wypytywać, a jej gość nie kwapił się z udzielaniem dodatkowych informacji.

Po posiłku Megan podała kawę i ciasteczka. Profesor znów pochwalił jej kulinarne umiejętności. A na koniec, co było chyba największym zaskoczeniem tego i tak już dość zaskakującego wieczoru, zaofiarował się z pomocą w zmywaniu naczyń. Po skończonej pracy w kuchni podziękował za pyszną kolację i przemiły wieczór, pożegnał się, wyszedł, wynagrodził drobniakami i zwolnił do domu chłopaków, którzy pilnowali mu samochodu, usiadł za kierownicą, pomachał ręką w jej stronę i odjechał.

Następnego dnia Megan nie miała okazji spotkać się z Oscarem. Inna rzecz, że nie rozglądała się za nim specjalnie, nie szukała go. Była bardzo zajęta na oddziale, a poza tym doszła do wniosku, że będzie lepiej, jeśli trochę odczeka i ochłonie po wczorajszym zdenerwowaniu. Mając bowiem jeszcze w pamięci to, co zaszło, mogłaby zareagować zbyt gwałtownie i nawet przesadzić z pretensjami.

Narzeczony z własnej inicjatywy również nie dawał znaku życia. Wpadli na siebie przypadkiem dopiero w dwa dni później, po stołówkowym obiedzie.

- O, Megan, jak się masz? Przepraszam za tamten wieczór - odezwał się grzecznie, lecz bez nadmiernej skruchy. - Chyba nie masz mi za złe, prawda? A co byś powiedziała na jutro? Będę wolny wieczorem, ma się rozumieć, jak nic niespodziewanego nie wyskoczy.

- Jutro? Nie, Oscar, jutro odpada. Mam dyżur, będę za bardzo zmęczona nawet na odgrzanie mrożonki - odparła Megan z cierpkim uśmiechem. - Może kiedy indziej. Tymczasem muszę pędzić na oddział. Cześć.

Prawdę mówiąc, następne popołudnie miała wolne. Chciała jednak dać Oscarowi nauczkę. Pomyślała, że skoro tak lekkomyślnie ją rozczarował, zawiódł, zrobił jej przykrość, to niech teraz trochę poczeka i odcierpi za swoje. Słusznie mu się należy!

Profesor również się nie pokazywał. Nawet się zbyt nie dziwiła. Z reguły bardzo rzadko przecież opuszczał pomieszczenia laboratorium patologicznego, a jeśli już czasem pojawiał się na oddziale, to nigdy w celach towarzyskich, lecz wyłącznie czysto służbowych. Cóż, typowy samotnik, może nawet trochę sobek, nigdy za kimś takim nie sposób trafić, myślała Megan z odrobiną rezygnacji. Tym razem jednak była w błędzie, bo dowiedziała się przypadkiem któregoś dnia od

jednego z lekarzy, że profesor po prostu wyjechał na parę dni do Holandii.

- Od czasu do czasu nawet on musi chyba spotkać się z rodziną... - Jej rozmówca nie był w stanie powstrzymać się od z lekka ironicznego komentarza,

No, tak, spotkać się z rodziną, to znaczy, że jest żonaty... Taki nie całkiem logiczny wniosek wysnuła Megan z usłyszanej wiadomości z całkiem logicznym chłodem. Uparcie nie mogła się jednak oprzeć dziwnemu wrażeniu, że tak trochę to zrobiło jej się czegoś szkoda.

Czego? Jakiejś zaprzepaszczonej szansy? A może utraconego złudzenia? Kto wie...

Po kilku dniach Megan zmiękła i zgodziła się spędzić wieczór z narzeczonym. Przyjęła jego zaproszenie na kolację do cichej restauracyjki w pobliżu Victoria Park. Było nawet przyjemnie, Oscar bardzo się starał zatrzeć złe wrażenie. Kiedy więc zaproponował, że w najbliższy wolny weekend chętnie wybierze się z nią ponownie do Little Swanley, zgodziła się bez oporów, a nawet z radością.

- Byłoby cudownie! Dałbyś radę ułożyć swoje sprawy w szpitalu tak, żebyśmy mogli wyjechać w sobotę rano, przenocować i wrócić do Londynu dopiero w niedzielę wieczorem?

- Dla ciebie wszystko, Megan - odparł Oscar z aż zaskakującą u niego galanterią.

Odprowadził ją do domu. Wszedł na chwilę, żeby zobaczyć jej nowe lokum, które znał dotąd jedynie ze słyszenia.

- Ciasnawo tu, prawda? - podsumował pobieżne oględziny.

Megan starała się nie mieć mu za złe zupełnego braku wrażliwości na uroki przytulnego gniazdka, jakie sobie urządziła nie bez pewnego wysiłku. Nowe zasłony i abażury,

ozdobne poduszki na otomanie, świeże kwiaty w wazonie, kot Meredith odkarmiony i elegancko wyszczotkowany... Cóż, próbowała zrozumieć, że dla mężczyzny typu Oscara takie drobiazgi niewiele znaczą, mogą być nawet po prostu niezauważalne. Oczywiście, mieszkanko nie było apartamentem, nie zamierzała temu oczywistemu faktowi zaprzeczać. Stwierdziła zatem tylko, że jednak cieszy się z tego, co ma, i że mieści się doskonale, nawet z czworonożnym sublokatorom.

- Widzisz, Oscar, hotel to hotel - dodała - zawsze ruch, hałas, zamieszanie, ktoś wychodzi, ktoś wchodzi, do późna ryczą magnetofony i telewizory. A ta uliczka jest taka cichutka. Kiedy jestem zmęczona, mogę położyć się, kiedy chcę i nikt nigdy mi nie przeszkadza.

- Oj, uważaj, Megan! - Oscar roześmiał się w głos.

- Coś mi się zdaje, że jesteś na najlepszej drodze do nabrania staropanieńskich przyzwyczajęń.

- Skoro ci to przeszkadza, najlepiej po prostu się pobierzmy - odpaliła bez zastanowienia.

Prawie natychmiast pożałowała swoich słów.

- O małżeństwie będzie czas porozmawiać, kiedy odwałę staż i znajdę sobie jakąś przyzwoitą posadę - mruknął naburmuszony Oscar marszcząc brwi, po czym na osłodę cmoknął Megan w policzek i wyszedł.

A ona, ponieważ cały wieczór minął im bardzo sympatycznie, postarała się szybko zapomnieć o tym drobnym niemiłym zgrzycie.

Profesora spotkała dopiero kilka dni później. Była akurat po dyżurze, w nie najlepszej formie i nastroju; szła przez główny szpitalny hol w stronę wyjścia. Van Belfeld stał w towarzystwie jednego z chirurgów, doktora Brighta, prowadzili jakąś ożywioną dyskusję. Na widok Megan Bright uśmiechnął się i powiedział miłym tonem:

- Dobranoc, siostró Rodner!

Profesor tylko obojętnie skinął głową, przybierając taką minę, jakby nie był do końca pewien, czy w ogóle się znają. Megan poczuła się co najmniej zlekceważona. Pomyślała, że jakkolwiek by było, to jednak skorzystał z jej zaproszenia na całkiem przyzwoitą kolację.

No, może niezupełnie skorzystał z jej zaproszenia, zreflektowała się. Raczej sam się wprosił i było nawet przyjemnie, nie powinna jednak zaraz oczekiwać z jego strony żadnych dalszych gestów, nie ma ku temu podstaw. Profesor z nikim zresztą, o ile była zorientowana, nie pozostawał w bardziej zażyłych stosunkach, z założenia raczej się izolował. Ale co prawda, to prawda, kolacja mu smakowała, mógł więc przynajmniej się wysilić na jakieś bardziej przyjazne pozdrowienie.

- A to gburek z tego naszego profesora, mówię ci, kotku, gburek i tyle - poskarżyła się w domu Meredithowi. - A może po prostu tęskni za tą swoją Holandią i dlatego taki nieprzytomny? - zastanowiła się głośno, pozostawiając jednak wypowiedziane pytanie bez odpowiedzi.

Nie miała chęci psuć sobie humoru dłuższym roztrząsaniem tej sprawy. Rano widziała się z Oscarem, bardzo się cieszyła na ich niedaleki już wspólny wyjazd do Little Swanley. Cieszyła się tym bardziej, wiedząc, jak trudno jest stażycie zorganizować sobie pełny wolny weekend. Oscar nieźle się postarał. Zdołał urządzić wszystko tak, by mogli jechać już w piątek wieczorem. Megan postanowiła kupić odpowiedni koszyk, rodzaj wiklinowej klatki z uchwytem i zamknięciem, i wziąć na wycieczkę również Mereditha. Pomyślała bowiem, że niech się lepiej nie włóczy samopas po ulicach i nie popada w tarapaty. No i że świeże wiejskie powietrze powinno dobrze mu zrobić. W piątek, wchodząc rano do Regent's, Megan znów natknęła się na

profesora. Wysiadał akurat z samochodu, był dość blisko, lecz poirytowana tym, jak ją ostatnio potraktował, udała, że go nie widzi. A on? Zauważył ją? Jeśli nawet tak, nie dał tego po sobie poznać. Chociaż... Tak się jakoś radośnie uśmiechnął do portiera, że ten mruknął pod nosem:

- Ojej, coś chyba nie tak z naszym profesorkiem. Chory czy co? A może zakochany? Kto to wie, co się z ludźmi dzieje, no, no...

Po pracowitym dyżurze, rezygnując ze stołówkowej kolacji, Megan szybko pobiegła do domu, żeby się przebrać i spakować do podręcznej torby niezbędne na dwa dni drobiazgi, zanim przyjedzie Oscar. Zjawił się, jak zapowiedział, punktualnie o szóstej. Mimo zmęczenia pełnym zajęć dniem był w doskonałym nastroju. Wpakował torbę do bagażnika, koszyk z kotem ustawił na tylnym siedzeniu, pomógł Megan usadowić się wygodnie z przodu, usiadł obok niej za kierownicą, rozradowany cmoknął narzeczoną w policzek, uruchomił silnik i wrzucił bieg. Ruszyli... Nareszcie. Cały weekend w domu, na wsi, z daleka od Londynu i szpitala!

- Powinniśmy być na miejscu przed dziesiątą. Oczywiście, jeśli pojedziemy autostradą. Jest może brzydsza, ale szybsza od tej twojej ulubionej trasy - stwierdził Oscar z trochę kpiarskim uśmiechem.

Megan nie miała jednak żadnych zastrzeżeń. Ze względu na porę i tak już niewiele było widać za szybami samochodu. No i też chciała być na miejscu jak najszybciej.

- Oscar, miałbyś jutro ochotę na coś szczególnego?
- zapytała w którymś momencie. - Może na jakiś dłuższy spacer? Są takie ładne miejsca wokół Little Swanley...
- Zobaczymy - mruknął z niezdecydowaniem.
- Może twoi będą mieli dla nas jakiś pomysł? Tymczasem nie łam sobie głowy, odpręż się, rozluźnij.

Jechali wolno przez zatłoczone londyńskie ulice, później, zostawiwszy już za sobą miasto i przedmieścia, ruszyli znacznie szybciej. Trochę rozmawiali o jakichś obojętnych sprawach, trochę milczeli. Megan poczuła się tak odprężona i rozluźniona, że aż ją to zaniepokoiło. Czy naprawdę tak powinno być? Stanowili przecież parę, podróżowali tylko we dwoje, a wzajemna obecność, bliskość, zdawała się nie wzbudzać u niej żadnych silniejszych reakcji. Czy to właściwe? A jak jest z nim? Nie zastanawiając się dłużej, spytała wprost:

- Oscar, czy czujesz się... mhm... podekscytowany, kiedy jesteś ze mną? Tylko się nie śmiej, odpowiedz poważnie i szczerze!

- Megan, kochanie, oczywiście, że nie będę się śmiał, nie widzę w twoim pytaniu niczego śmiesznego. - Trochę zaskoczony nagłą koniecznością złożenia tak bardzo osobistej deklaracji, z miejsca przybrał ton całkowicie serio. - To, co wobec ciebie czuję, jest, jak by powiedzieć, bardzo głębokie i prawdziwe. Ekscytacja? Gwałtowne emocje nie bardzo chyba leżą w mojej naturze. Przy tobie, Megan, z całą pewnością jestem... zadowolony... no... po prostu jest mi dobrze. Zadowolona z odpowiedzi?

Miała chęć odpowiedzieć, że nie, ale wbrew sobie skinęła twierdząco głową. Może takie gwałtowne, burzliwe, ekscytujące uczucia, o jakich czyta się w książkach, nigdy się nie przytrafiają zwykłym ludziom? Może nie warto oczekiwać nie wiadomo czego, skoro ma się już prawie wszystko, to znaczy zaręczynowy pierścionek i zdeklarowanego „na poważnie” mężczyznę?

W Little Swanley czekali na Megan i Oscara z kolacją. Zasiadli do niej wszyscy oprócz małego Colina. Mimo dość późnej pory nikt się nie spieszył. Przyjemnie było pomyśleć, że następny dzień to sobota i nie trzeba wstawać rano do

pracy, że można się nasiedzieć, nagadać i nazartować do woli. Megan, zajmując miejsce obok Oscara, z przyjemnością zerknęła na Melanie, którą miała naprzeciwko siebie. Ta nieśmiała, wiecznie speszona dziewczyna wydawała się taka swobodna, ożywiona, wesoła! Mimo obecności Oscara... A może właśnie dzięki niej? Trochę zawsze matkująca młodszej siostrze, Megan była szczerze rada, że właśnie jej przyszły mąż znalazł się w gronie tych nielicznych osób, w których towarzystwie Melanie dobrze się czuje.

Następnego dnia Megan zbudziła się wcześnie, jakby miała iść do pracy, uświadomiwszy sobie jednak, gdzie jest, wstała tylko na chwilę, żeby zaciągnąć zasłony. Wyrzała przez okno. Zapowiadał się pogodny dzień. Słońce, błękit nieba, cudowna wiejska zieleń, cisza, spokój, żadnych trosk... Tylko dlaczego Melanie i Oscar tak wcześnie, kuchennymi drzwiami, wymykają się z domu? Dokąd się wybierają? Przeszli przez ogród ku furtce, ruszyli wąską dróżką prowadzącą do pobliskiego lasu...

Megan wróciła do łóżka i zaczęła się zastanawiać nad tym, co zobaczyła. Tłumaczyła sobie, że pewnie Oscar nie mógł spać i postanowił się wybrać na poranny spacer. Przypadkiem spotkał Melanie, która wstała, żeby przygotować dla wszystkich herbatę, no i... Tak, wczoraj przy kolacji Oscar wspominał, że miałby chęć poobserwować trochę ptaki, Melanie pewnie się zaofiarowała zaprowadzić go w jakieś odpowiednie miejsce, jest przecież zawsze taka uczynna. Doszedłszy do powyższego wniosku Megan uspokoiła się całkowicie i usnęła.

Kiedy się obudziła, ujrzała siedzącą na brzegu swego łóżka siostrę z filiżanką herbaty w dłoniach. Również usiadła, odrzuciła do tyłu rozpuszczone i trochę splątane po nocy włosy.

- Melanie, gdzie byliście rano z Oscarem? - zapytała.

- Widziałaś nas? Trzeba było zawołać, to byśmy poczekali. Oscar miał chęć poobserwować ptaki, mówił o tym wieczorem, pamiętasz? Wstał wcześniej i zszedł na dół, akurat byłam w kuchni, zaproponowałam, że go zaprowadzę do naszego lasu. Chyba nie masz pretensji, Meg? - w oczach i tonie głosu Melanie dało się zauważyć odrobinę niepokoju.

- Ależ, kochanie, skądże znowu! To bardzo miło z twojej strony, że kiedy ja się tu wylegiwałam za wszystkie czasy, zajęłaś się moim gościem. Naszym gościem - poprawiła się Megan i dodała: - Dobrze się czujesz w towarzystwie Oscara, prawda?

- O, tak, naprawdę dobrze, bo wiesz, Megan, on wcale nie mówi, że go rozśmieszam... - Melanie splonęła rumieńcem.

- A kto tak mówi?

- Och, wszyscy. George ze dworu, chłopaki Bettsów z farmy, ten nowy sekretarz z kancelarii taty...

- Nie przejmuj się, kochanie, sama się z nich śmieję! Świetna z ciebie dziewczyna i na pewno trafisz na świetnego chłopaka, który cię będzie ubóstwiał właśnie za tę twoją nieśmiałość i delikatność.

- Och, Meg, chciałabym mieć nadzieję!

Megan objęła siostrę ramieniem, przytuliła ją do siebie i ucałowała w policzek.

- Bądź pewna, kochanie, uwierz starszej siostrze - powiedziała z całkowitym przekonaniem i dodała:

- A może by tak już wstać? Tego małego potwora też pora już chyba stąd wyrzucić - wskazała oczyma na śpiącego w nogach łóżka Meredith. - Czy śniadanie gotowe?

- Będzie za pół godzinki. Co zamierzasz dziś robić, Meg?

- Mhm... Pokażę Oscarowi wieś, pomogę trochę mamie, podłubię w ogrodzie. Wiesz, taki domowy relaks, nic na siłę, żadnego pośpiechu. Od czasu do czasu coś takiego się człowiekowi słusznie należy.

Kiedy po kilkunastu minutach Megan zeszła do kuchni, matka przekładała właśnie z patelni na półmisek jajka na boczku, a Melanie kończyła robić grzanki. Kawa była już przygotowana, Megan przeniosła ją tylko do saloniku, gdzie zastała ojca i Oscara.

- Cześć, kochanie, wyspałeś się wreszcie? - Oscar pocałował ją na dzień dobry w policzek. - Ja zerwałem się bardzo wcześnie, chciałem popatrzeć na ptaki, Melanie też okazała się rannym ptaszkiem i zaprowadziła mnie w odpowiednie miejsce. Tak tu wszędzie pięknie, że aż nabrałem chęci, żeby osiąść w pobliżu na stałe... Oczywiście, jak popraktuję trochę w Londynie i będę już naprawdę dobry w lekarskim fachu, rozumiesz - dodał pospiesznie, aby nie zrobić fałszywego wrażenia, że nagle zmienił plany.

- Rozumiem, rozumiem - Megan lekko westchnęła i w zadumie pokiwała głową.

W drodze powrotnej do stolicy, w niedzielę po południu, zapytała Oscara:

- Zadowolony jesteś z weekendu? Nie zanudziłeś się na wsi, mój londyński doktoru?

- W żadnym wypadku, było po prostu świetnie! Lubię twoją rodzinę, Megan, wspaniale się u nich czuję.

- Myślę, że oni też cię bardzo polubili. Nawet Melanie, chociaż zawsze taka nieśmiała wobec obcych, w twoim towarzystwie robi się zupełnie inna...

Oscar nie skomentował tej ostatniej uwagi, nie podjął też dalszej rozmowy. Skupił się całkowicie na prowadzeniu samochodu, co było o tyle usprawiedliwione, że im bliżej stolicy, tym na autostradzie robiło się tłoczniej. W milczeniu dojechali w okolice Regent's, zatrzymali się przed domem Megan przy Meredith Street.

- A co byś powiedziała na jeszcze jeden weekend w Little Swanley, jak mi się uda wykombinować trochę wolnego? - spytał Oscar przy pożegnaniu.

- Chciałabym, bardzo bym chciała znów z tobą pojechać. Mogłabym za dwa tygodnie, tylko czy tobie się uda...

- Za dwa też wątpię, ale może za trzy?

- Uprzedź mnie w razie czego, spróbuję zamienić się dyżurami z Jenny. Ale czy nie powinienes odwiedzić teraz swoich rodziców?

- Wyskoczę do nich na pół dnia w ciągu tygodnia. Oscar nie spytał, czy chciałyby z nim pojechać.

Może zauważył, że ona i jego matka nie są sobą zbyt zachwycone? Może dyplomatycznie nie chciał robić niczego na siłę i wolał dać im trochę czasu? Megan nie próbowała wypytywać, nie chciała psuć sobie przyjemnego wrażenia po udanym weekendzie. Powiedziała tylko Oscarowi dobranoc i pomachała mu ręką, gdy odjeżdżał, po czym weszła do siebie, aby położyć się jak najszybciej i odpocząć przed pracowitym poniedziałkiem.

Okazał się wyjątkowo pracowity, już od samego rana. Czterem pacjentkom z oddziału Megan zaplanowano na dzień następny zabiegi operacyjne, co oznaczało konieczność przeprowadzenia rozmaitych kontrolnych testów, wizytę anestezjologa w ciągu dnia i popołudniową wizytę chirurga, doktora Brighta, mającą na celu podniesienie chorych na duchu i ostateczne sprawdzenie wszystkich zgromadzonych materiałów. Przeglądając papiery czwartej pacjentki, doktor Bright zatrzymał się na wyniku badań grupy krwi, dostarczonym przez laboratorium patologiczne.

- Widziała pani, co oni tu napisali, siostro? - spytał asystującą mu Megan.

- Tak, panie doktorze.

- Przecież to nieprawdopodobne! Proszę szybko pobiec do profesora van Belfelda, niech jeszcze raz sprawdzi. Jeśli się nie pomylił, będziemy musieli zdobyć jakoś do jutra krew, to bardzo nietypowa grupa, jestem prawie pewien, że nie ma jej w naszym banku...

Idąc szybkim krokiem w kierunku patologii, Megan zastanawiała się, jak profesor zareaguje na próbę podania w wątpliwość jego opinii. Przypuszczała, że nie najlepiej. Nie spodziewała się jednak, że będzie aż tak źle.

Zastukała do drzwi gabinetu. Na średnio zachęcające „Tak?” weszła do środka. Van Belfeld siedział za biurkiem i dość zawzięcie coś pisał.

- Tak, siostrze? - odezwał się nieco mniej zniecierpliwionym tonem.

- Doktor Bright prosi, żeby pan jeszcze raz sprawdził ten wynik badania grupy krwi, panie profesorze. Mówi, że jest nieprawdopodobny.

- Nieprawdopodobny, ale prawdziwy. Sprawdziłem osobiście. Proszę to łaskawie powtórzyć doktorowi Brightowi i nie zawracać mi głowy, bo jestem dosyć zajęty!

Megan odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi. „Nie zawracać mi głowy”, co on sobie wyobraża, jak ją traktuje, przecież nie przyszła z własnej inicjatywy, tylko z polecenia chirurga!

- Proszę jeszcze powiedzieć doktorowi Brightowi, że już mu się postarałem o odpowiedniego dawcę.

- A to już proszę powiedzieć doktorowi osobiście, bo ja też jestem dosyć zajęta! - palnęła zirytowana Megan i opuściła gabinet.

Dopiero za drzwiami uświadomiła sobie, że bez względu na wszystko nie powinna się była tak zachować. Jej odpowiedź ktoś nieżyczliwy czy nad miarę rygorystyczny mógłby podciągnąć pod niesubordynację. Za coś takiego

groziła nawet utrata pracy z opinią, że lepiej nie mówić. Gdyby profesor złożył skargę u przełożonej... Megan zafrasowała się tak szczerze, że aż doktor Bright zapytał ją, gdy wróciła na oddział:

- Czym pani jest taka przejęta, siostró Rodner? Czyżby profesor próbował panią zamordować?

- Tak bardzo źle to nie było, panie doktorze. Mam przekazać, że wynik jest nieprawdopodobny, ale prawdziwy, a odpowiedni dawca wyszukany.

- Niesamowite! I cóż byśmy poczęli bez tego naszego profesora?

Megan nawet nie próbowała odpowiadać na retoryczne pytanie chirurga. Mruknęła tylko sama do siebie, że szpitalowi van Belfeld być może jest niezbędny do szczęścia, lecz jej na pewno nie. Zajął się jakąś pracą. Przez cały czas zastanawiała się przy tym, co powinna zrobić. Przeprasić profesora? Z całą pewnością tak. Jest przepracowany, przemęczony, miał prawo się zniecierpliwic. Tylko czy człowiek przepracowany i przemęczony musi być zaraz niegrzeczny? Dlaczego profesorowi wolno się zniecierpliwic, natomiast pielęgniarkę pod żadnym pozorem nie? Megan zdecydowała, że tak czy inaczej przeprosi, ale dopiero nazajutrz rano, jak sobie dokładnie przemyśli, co powiedzieć. Żeby wyjść z tego bez utraty twarzy, zachować godność, uniknąć upokorzenia.

Idąc po dyżurze korytarzem w stronę wyjściowego holu, próbowała układać sobie w myślach odpowiednie przemówienie. Była tym tak zajęta, że zauważyła nadchodzącego z naprzeciwka profesora dopiero w chwili, gdy znalazł się tuż obok i nie było już żadnych szans na dyplomatyczne uniknięcie kłopotliwego spotkania.

- Siostró Rodner, oczekiwałem przeprosin z pani strony.

- Nie miałam... czasu... - zaskoczona Megan nie bardzo wiedziała, jak wybrnąć - chciałam później... jutro... po rozmowie z przełożoną...

- Rozmowa z przełożoną? A na jaki temat, jeśli wolno wiedzieć?

- Na temat pańskiej skargi... o niesubordynację... To znaczy, gdyby ją pan złożył...

- Młoda damo! - w głosie profesora dało się zauważyć żartobliwy ton. - Skąd pomysł, że miałbym się skarżyć? Coś pani powiem, tylko po cichu, żeby zostało między nami. Na pani miejscu zachowałbym się dokładnie tak samo. Też nie lubię, jak ktoś na mnie burczy bez dania racji. Dlatego proponuję: zapomnijmy oboje o tej aferze, dobrze? Na zgodę chętnie bym panią zaprosił gdzieś na kolację, ale nie chcę... mhm... prowokować młodego Fieldinga, więc... No cóż, życzę pani spokojnych snów i przepraszam za niedelikatność z mojej strony.

- To ja przepraszam, panie profesorze. - Megan była aż trochę zażenowana takim obrotem spraw. - Zachowałam się nieodpowiednio, nie powinnam, a pan jest dla mnie taki miły...

- Miły, miły, ulubione określenie Anglików, które oznacza dokładnie wszystko i nic - obruszył się profesor. - Wcale nie jestem miły, nie mam zamiaru być! Dobranoc.

- Dobranoc, panie profesorze - odpowiedziała Megan i pomyślała sobie, że van Belfeld najwyraźniej znowu się zniecierpliwił.

Zupełnie jednak nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie: „dlaczego?”.

Nie zastanawiała się długo, z ulgą, szybkim krokiem ruszyła do domu. Na kolacji miał być u niej Oscar, zapowiedział się na dziewiątą, chcąc więc wszystko odpowiednio przygotować musiała się trochę pośpieszyć.

Nakarmiła kota, wzięła prysznic, przebrała się, włożyła kuchenny fartuszek i zajęła się szykowaniem posiłku. Zaplanowała suflet, sałatkę i zestaw serów, a do picia sherry i piwo.

Oscar zjawił się punktualnie. Zajadał się sufletem i wszystkim innym, a nim się pożegnał, zauważył:

- Bardzo mi smakowało, Megan, nie miałem pojęcia, że tak dobrze sobie radzisz w kuchni. Czyżbyś brała korepetycje u Melanie? Bo jak sobie przypomnę te kruche ciasteczka...

Ponieważ Megan milczała, Oscar nie rozwijał dalej tematu, a tylko podszedł i pocałował ją na do widzenia. Pocałował? Raczej cmoknął w przelocie, zupełnie nie tak, jak by chciała! Czyżby coś psuło się pomiędzy nami? - pomyślała Megan i w chwilę później, może trochę nieopatrnie, powtórzyła to pytanie pełnym głosem.

- Coś się psuje? Jak to, coś się psuje? - zachnął się Oscar.
- Na jakiej podstawie tak mówisz? Dziewczyno, jesteś chyba przemęczona, ot co, dopatrujesz się przez to dziury w całym! Powinnaś odpocząć. A wiesz, załatwiłem sobie ten wolny weekend. W przyszłym tygodniu. Spróbuj się dopasować, to pojedziemy do Little Swanley.

- Naprawdę? To spróbuję, oczywiście, że spróbuję, myślę, że Jenny się zgodzi na zamianę!

Po wyjściu Oscara Megan zmyła naczynia, posprzątała trochę w pokoju, nakarmiła Mereditha i położyła się spać. Długo jednak nie mogła zasnąć. Myślała o minionym dniu, o wszystkim, co się jej przydarzyło od rana, o profesorze, o Oscarze... Czuła się jakoś dziwnie, jakby miała ochotę zaraz się rozplakać. Miała ochotę, chociaż nie miała powodu. I może to właśnie było w całej sytuacji najgorsze?

W środę Regent's przejął ostry dyżur. Kolejne dni były naprawdę ciężkie, każdego wieczoru Megan pocieszała się jedynie myślą o niedalekim sobotnio - niedzielnym

odpoczynku w rodzinnym domu. Miała nadzieję, że w końcu się odpręży. No i że wreszcie nacieszy się trochę obecnością Oscara, bo tymczasem, ze względu na nawał zajęć u obojga, niemalże go nie widywała.

Niestety! W szpitalu św. Patryka wybuchła epidemia grypy, co oznaczało, że Regent's będzie musiał dyżurować przez jeszcze jeden tydzień. I w ten sposób z weekendu siostry oddziałowej - nici!

- A to pech! - zmarszczył brwi Oscar, usłyszawszy niepomyślną nowinę. - Ja już nic u siebie nie zmienię, za późno, dyżury poustalane... Wiesz co, Megan? - nieoczekiwanie wyraźnie się rozpogodził. - Mam pomysł, pojedę sam. Chyba twoi nie będą mieli nic przeciwko temu, prawda?

- Na pewno nie... będzie im bardzo miło... - wykrztusiła Megan, starając się możliwie jak najszybciej ochłonać z zaskoczenia. - Zadzwońię do mamy...

- Cudownie! - rozpromienił się Oscar. - Chociaż bardzo mi przykro z twojego powodu - dodał pośpiesznie, gdy zauważył, że Megan nie do końca chyba podziela jego entuzjazm.

ROZDZIAŁ TRZECI

Megan zadzwoniła do matki jeszcze tego samego wieczoru.

- Jaka szkoda, kochanie! - zasmuciła się pani Rodner. - Tak bardzo chcieliśmy znów cię zobaczyć, no i Oscara oczywiście również. Czy on naprawdę chce sam do nas przyjechać? Przecież w ten weekend; wieczorem po dyżurze moglibyście wybrać się gdzieś razem albo po prostu posiedzieć sobie w twoim, mieszkanku...

- Wiesz, mamó, on tak się cieszył na ten wyjazd, nie ma sensu, żeby zostawał w Londynie tylko dlatego, że ja nie mogę się ruszyć - tłumaczyła Megan, starając się o możliwie przekonujący ton. - Nie, nawet nie chcę, żeby zostawał, wolę, żeby pojechał!

- No, cóż, przyjmijmy go z otwartymi ramionami, kochanie. A kiedy ty będziesz miała szansę się wyrwać z tego twojego szpitala?

- Po ostrym dyżurze, mamó. Może już w następnym weekend? Będą mi się należały dwa wolne dni.

- Przyjeżdżaj, kiedy tylko ci się uda. Nie musisz nawet uprzedzać. Zawsze czekamy!

Odłożywszy słuchawkę, pani Rodner zwróciła się do męża, który siedział w fotelu zasłonięty gazetą:

- George, przerwij, proszę, na chwilę i posłuchaj. Meg nie może przyjechać, ma dodatkowy ostry dyżur. Oscar zjawi się sam. Czy nie wydaje ci się, że powinien raczej zostać z nią? Gdzieś ją zaprosić po pracy albo odwiedzić w domu... George, czy ty mnie słuchasz? Nie wydaje ci się... Zauważyłeś może, jak ten Oscar patrzy na Melanie? A ona na niego? Jak chętnie sobie razem szczebiocą, spacerują? Nie jestem tym zachwycona, chciałabym, żeby Megan i Oscar wreszcie się pobrali, skoro już są...

- Zakochani? - dokończył zdanie pan Rodner, gdy jego małżonka nagle zamyśliła się i zamilkła. - A może tylko zaręczeni? Owszem, zauważyłem, że Oscar i Melanie, wiesz, takie rzeczy się zdarzają, nic na to nie można poradzić... Cierpliwości, kochanie, oto jedyna moja rada. Trzeba cierpliwie poczekać, pozostawiając sprawy ich własnemu biegowi.

- No, wiesz, George, ładna mi rada, jak na pana radcę! - oburzyła się pani Rodner. - Cierpliwość, poczekać... A co będzie z naszą Meg?

- Kochanie, Meg jest już dorosła, ma dwadzieścia osiem lat!

- Nawet nie musisz mi tego przypominać. Dwadzieścia osiem! Zanim się obejrzymy, zostanie starą panną! A przecież to taka kochana i śliczna dziewczyna.

- Właśnie, kochana i śliczna, więc chyba musi w końcu trafić na odpowiedniego mężczyznę, nie sądzisz? Cierpliwości, kochanie, jedyna moja rada, cierpliwości...

W czasie weekendu Megan miała niewiele czasu na rozpamiętywanie swych osobistych spraw. Oddział przepełniony, pracy mnóstwo, ciągły pośpiech, trudno było nawet wykroić parę minut na obiad. A już drogę do i ze stołówki należało pokonywać prawie biegiem. Zaaferowana biegła więc szpitalnymi korytarzami, aż w niedzielę, wracając z południowego posiłku, wpadła na profesora, który pełnym godności miarowym krokiem szedł w przeciwnym kierunku.

- Nie można się miotać na oślep, siostró. Z czegoś takiego biorą się w szpitalu najrozmaitsze kolizje. W życiu również... - stwierdził z udawaną przyganą w głosie, robiąc, jak uznała Megan, aluzję do pechowego incydentu z wycinkiem pani Dodds.

- Przepraszam, panie profesorze. Jestem taka zagoniona!

- A miała pani w planie wolny weekend, prawda?

- Owszem, ale nie wyszło. Trudno.

Megan chciała iść dalej w swoją stronę, jednak van Belfeld najwyraźniej nie zamierzał przerywać rozmowy.

- A młody Fielding ma wolne, czy nie tak? - wypytywał.

- Owszem - potwierdziła Megan, nieco zaskoczona dociekliwością swego rozmówcy.

- Zamierzaliście wyjechać do pani rodziców? - Tak.

- I nie udało się? A to przykrość!

- Owszem. To znaczy mnie się nie udało, Oscar wyjechał, moja rodzina go lubi, a on ma tak mało wolnych weekendów...

Zamilkła. Nie potrafiła określić, co ją skłoniło do powiedzenia o wszystkim profesorowi. Łagodny ton jego głosu? Życzliwe, współczujące spojrzenie? Nie wiedziała też, dlaczego, mając w zasadzie żal do Oscara, próbuje go usprawiedliwiać.

- Tak, tak, lubią go, ma mało weekendów, tak, tak... - profesor pokiwał głową, może ze zrozumieniem, a może tylko z dobrze zamaskowaną ironią. - No, proszę mi nie pozwolić dłużej się zatrzymywać, siostró Rodner, na pewno już na panią czekają na oddziale, do zobaczenia - profesor zakończył rozmowę z trochę nieoczekiwanym pośpiechem, skłonił się lekko i odszedł.

Gdy po niedzielnym dyżurze Megan znalazła się wreszcie w domu, zjadła w towarzystwie kota Mereditha przyrządzoną naprędce kolację i właśnie zaczęła szykować się do snu, zadzwonił telefon. Oscar, cały rozentuzjasmowany udanym weekendem!

- Jak spędziłeś dzień? - zapytała Megan.

- Ach, wspaniale. Było świetnie, mówię ci! Spacer, obiad w pubie, podwieczorek w domowych pieleszach... A jak u ciebie? Dużo roboty?

- Nie powiem, że nie. Sporo. Padam z nóg. Właśnie się kładę do łóżka. Cześć.

Megan faktycznie za chwilę się położyła, jednak zamiast spać, zaczęła rozmyślać. Ciekawe, z kim Oscar spacerował i jadł ten obiad w pubie, z całą rodziną czy tylko z samą Melanie? Nie, żeby jej to miało jakoś przeszkadzać, ale mógłby przecież powiedzieć. A on nic. Wcześniej wspominał coś w rozmowie o matce, ojcu, Colinie, a o siostrze też ani słowa. Czyżby doszło między nimi do jakiegoś nieporozumienia? A może Melly zachorowała i dlatego nie pokazywała się gościowi na oczy? Megan zaniepokoiła się tym ostatnim przypuszczeniem na tyle, że mimo późnej pory zdecydowała się zadzwonić jeszcze do matki.

- Melanie zachorowała? - dziwiła się pani Rodner. - Na Boga, Megan, skąd coś takiego przyszło ci do głowy?

- No bo... widzisz, mam, Oscar przed chwilą telefonował, opowiadał mi o was wszystkich, a o niej nie. No więc myślałam, że może się posprzeczali, albo że Melanie źle się czuła i nie wychodziła ze swego pokoju...

- Skądże znowu, kochanie, twoja siostra czuje się świetnie i jest bardzo zadowolona z weekendu. A Oscar pewnie miał ci tyle do powiedzenia, że po prostu nie zdążył wspomnieć...

- No, tak. W takim razie kamień spadł mi z serca. Przepraszam, mam, że cię niepokoiłam.

- Ależ nic nie szkodzi, Meg! Dzwon do mnie, kiedy tylko zechcesz. I przyjeźdź!

- Mam nadzieję, że tym razem mi się uda. Na całe dwa dni. Postaram się. Dobranoc.

Tydzień po męczącej niedzieli minął szybciej, niż można się było spodziewać. W piątek po południu Megan bez problemów przekazała oddział swej zastępczyni, Jenny Morgan i już miała iść do domu, kiedy zadzwonił poprzez

wewnętrzną szpitalną linię Oscar. Narzekał, że jest na okrągło zajęty, ale obiecał urwać się około szóstej na pół godzinki i zabrać Megan do pubu naprzeciwko na drinka.

- Czemu nie? - odpowiedziała. - Wyskoczę teraz do domu, nakarmię kota, przebiorę się, wrócę do Regent's i będę na ciebie czekała jak zwykle. W holu. O szóstej.

Czekając w pustym o tej porze, dość ponurym, wysokim pomieszczeniu z marmurową posadzką i ścianami wyłożonymi ciemną boazerią, Megan kręciła się tam i z powrotem. Popatrywała na pozawieszane w równych odstępach duże olejne portrety znakomitości medycznych, jakie przed laty były związane ze szpitalem Regent's. Poważne oblicza, surowe, godne, wyniosłe profesorskie spojrzenia...

- Interesują panią dawni luminarze sztuki lekarskiej, siostró Rodner?

Zamyślona Megan miała przez chwilę niesamowite wrażenie, że słyszy głos z portretu. Drgnęła, błyskawicznie oderwała wzrok od olejnej podobizny, rozejrzała się bacznie wokoło. No, nie, przecież to tylko profesor van Beifeld! Zjawił się tak nieoczekiwanie i podszedł tak cicho...

- Nie bardzo, panie profesorze, wolę jednak tych obecnych - odpowiedziała z właściwą sobie rezerwą, ochłonawszy nieco z zaskoczenia. - Tak tylko bezmyślnie spoglądam na te portrety. Czekam na Oscara, powinien się zjawić lada moment. Ma pół godzinki przerwy, zaprosił mnie na drinka.

- Wybiera się pani jutro do rodziców?

- Tak. A skąd pan wie? - Megan nie próbowała nawet kryć zdziwienia.

- Mhm... holenderski wywiad działa - odparł profesor z figlarnym uśmiechem. - A tak naprawdę

- dodał szybko poważniejąc - to doktor Bright mi o tym wspomniał przy jakiejś okazji. Jadę jutro do Oxfordu. Czy

wpół do dziewiątej to nie za wcześnie dla pani? Będę czekał na Meredith Street.

- O wpół do dziewiątej? Na Meredith Street?

- Megan mechanicznie powtarzała słowa profesora, nie bardzo jednak rozumiejąc, o co właściwie mu chodzi.

- Czyżbym nie wyraził się dostatecznie jasno? Przyjadę po panią o wpół do dziewiątej i w drodze do Oxfordu podrzucę tam, gdzie trzeba.

- To bardzo miłe z pana strony, ale ja przecież zamierzałam jechać sama, moim mini...

- Ze mną dotrze pani na miejsce szybciej i wygodniej. O wpół do dziewiątej może być? - Profesor nie dopuszczał żadnej dyskusji i domagał się konkretnej odpowiedzi.

- Nno... tak... oczywiście... - głos Megan brzmiał raczej niepewnie. - Ale ja przecież będę musiała wziąć ze sobą kota!

- Zmieści się. Wpół do dziewiątej?

- Tak. Będę gotowa. Ale przecież to dla pana niepotrzebny kłopot, panie profesorze...

Van Belfeld całkowicie zignorował obiekcje Megan, zupełnie, jakby nie usłyszał jej ostatniego zdania. Powiedział tylko:

- No to jesteśmy umówieni. Dobranoc.

I zniknął tak samo cicho i nieoczekiwanie, jak się pojawił. Z góry, ze swego oddziału, zszedł Oscar.

- No to jestem. Chodźmy.

Przeszli na drugą stronę ulicy do pubu „Pot and Feather” i przysiedli w jakimś spokojniejszym kąciku.

- Co dla ciebie, Megan?

- Duży tonik z lodem i cytryną.

- Kropelka ginu?

Przecząco pokręciła głową. Patrzyła za Oscarem, gdy przeciskał się w stronę barowego kontuaru. Miała wrażenie, że wygląda jakoś inaczej niż zwykle. Z reguły o tej porze, po

całym dniu pracy, bywał zmęczony, nawet trochę oklapnięty. A teraz? Wydawał się taki dziarski, energiczny, niemalże uskrzydłony. Rozradowany? Zadowolony? Czyżby z jej dwudniowej nieobecności? Megan aż roześmiała się na tę myśl. Że też coś równie absurdalnego mogło jej przyjść do głowy!

Oscar wrócił, zajął miejsce obok.

- No to opowiedz mi teraz coś więcej o weekendzie w Little Swanley - poprosiła go Megan.

Złożył rzetelne sprawozdanie, z detalami, zrelacjonował niemal godzinę po godzinie. Mówił bez przerwy, nie dopuszczając w ogóle Megan do głosu i nie pozwalając jej w ten sposób na wtrącanie żadnych pytań. A kiedy skończył, natychmiast uniósł się z krzesła i stwierdził:

- Chodźmy już, moje pół godziny minęło. Muszę wracać do pracy, punktualność przede wszystkim, trzeba świecić dobrym przykładem.

- No to chodźmy.

Megan wstała również. Ruszyli ku wyjściu, skierowali się ulicą w stronę Regent's.

- Oscar, jak tylko będziesz mógł, musimy znów razem wypuścić się do Little Swanley - zagadnęła Megan po drodze.

- Na razie czarno to widzę, kochanie. Jak teraz złapię jakiś wolny dzień, będę musiał wreszcie odwiedzić staruszków.

- Jasne. Wybierzemy się razem trochę później, przy okazji. Tymczasem jadę sama, jutro, a właściwie nie sama, tylko...

- Cześć, kochanie, muszę pędzić - Oscar przerwał jej w pół zdania, bo właśnie znaleźli się na wprost szpitalnych drzwi. - Pozdrów wszystkich w Little Swanley ode mnie - rzucił w pośpiechu, cmoknął Megan w policzek i zniknął.

Pomyślała, że w takim razie opowie mu o jeździe w towarzystwie profesora po powrocie. Tymczasem zaś wróciła do siebie, na Meredith Street. Przygotowała sobie i kotu kolację, wrzuciła do torby parę niezbędnych drobiazgów, naszykowała koci koszyk.

- Będiesz jutro podróżował rolls - royce'em, Meredith, musisz mi obiecać, że odpowiednio się zachowasz - przestrzegła zwierzaka, lecz ten w odpowiedzi tylko leniwie ziewnął i odszedł w stronę pełnej miski.

Następnego dnia Megan wstała dość wcześnie. Prawdę powiedziawszy, jakoś nie mogła dłużej uleżeć w łóżku. Zjadła śniadanie i zaczęła szykować się do drogi. Włożyła całkiem nowy, dopiero co kupiony zestaw: szary żakiecik z długą fałdzistą spódnicą w tym samym kolorze, lekko rozjaśnionym nutkami błękitu i zieleni, i białą bawełnianą bluzką. Długo przeglądała się w lustrze. Zależało jej na wyglądzie, choć zupełnie nie potrafiła określić, dlaczego.

Jeśli ze względu na profesora, to zupełnie niepotrzebnie. Ten bowiem, gdy zjawił się, jak zapowiedział, dokładnie o wpół do dziewiątej, obrzucił ją spojrzeniem tak obojętnym, że równie dobrze mogłaby być wystrojona w kreację z worka czy ścierek. Nie tracąc czasu na nic więcej poza krótkim dzień dobry, ulokował koszyk z Meredithem na tylnym siedzeniu a torbę w bagażniku, pomógł Megan zająć miejsce z przodu, sam usiadł za kierownicą, uruchomił silnik, wrzucił bieg i ruszył. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem! Megan zaczęła po trosze żałować, że się zgodziła na tę wspólną jazdę.

Minęło dobre dziesięć minut kompletnej ciszy.

- Miły dziś dzień... - zaczęła w końcu.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu profesor odezwał się na to całkiem sympatycznym tonem:

- Owszem, nie najgorszy. Jak długo zostanie pani u rodziców, siostró Rodner? A może mógłbym nazywać panią Megan?

- Zamierzam zostać do jutra, mam wolny cały weekend. I proszę mi mówić po imieniu, jeśli ma pan ochotę.

- Cieszę się, Megan. Wracam do Regent's w niedzielę wieczorem, zamelduję się po panią w Little Swanley tuż po szóstej.

- To bardzo miły gest z pana strony, ale...

- Nie ma żadnego „ale"! Nakładam tylko kilkanaście kilometrów. A skoro jedziemy razem tam, to pojedziemy i z powrotem. W towarzystwie zawsze przyjemniej.

- A rollsem szybciej, niż jakimś innym samochodem, prawda? To świetny wóz. I taki komfortowy, obszerny. Wielki człowiek potrzebuje wielkiego samochodu, czyż nie tak?

- Faktycznie wielki człowiek, biorąc oczywiście pod uwagę wzrost - roześmiał się profesor.

- Czy jeżdżąc do Holandii zabiera pan wóz ze sobą? - Megan postanowiła skorzystać z okazji i dowiedzieć się czegoś więcej na temat prywatnego życia swego współtowarzysza podróży.

- Zabieram. Jest mi potrzebny - odparł profesor lakonicznie.

- Wozi pan rodzinę? - Megan nie była całkiem pewna, czy nie pozwala sobie na zbyt wiele ciekawości i czy za chwilę nie zostanie z tego powodu ofuknięta.

- Wożę rodzinę - odpowiedział van Belfeld takim tonem, że już więcej osobistych pytań ze strony Megan nie padło.

Zamilkła. Zaczęła sobie wyobrażać tę holenderską rodzinę profesora. Żona... Zapewne postawna, posągowa dama, zawsze bardzo elegancka, o nieskazitelnym manierach. Dzieci... Bez wątplenia troje lub czworo.

- Dlaczego pani tak nagle ucichła, Megan? Zarumieniła się, mając dziwne wrażenie, że profesor odgadł temat jej rozmyślań.

- Nie przepadam za paplaniną na siłę, panie profesorze. Czasem lepiej jest wspólnie pomilczeć, niż wysilać się na rozmowę o czymkolwiek - odpowiedziała trochę speszona.

- Mhm... - uśmiechnął się van Belfeld. - Widzę, że się nadspodziewanie dobrze rozumiemy, Megan.

Zjechał z głównej drogi w boczną, o nic nie pytając i nie przyglądając się nawet drogowskazowi. Wąskie odgałęzienie do Little Swanley również odnalazł bez najmniejszego wahania.

- Był pan już tu kiedyś? - zapytała Megan, mocno zdziwiona.

- Nie. A dlaczego pani pyta?

- Tak dobrze zna pan drogę...

- Przystudiowałem dokładnie mapę, to wszystko.

Przejechali przez wieś. Rolls - royce wtoczył się majestatycznie na dziedziniec domu państwa Rodnerów i zatrzymał przed frontowymi drzwiami. Pani Rodner stała na progu.

- Kochanie, jak to miło, że jesteś tak wcześnie! - ucieszyła się, po czym spojrzała w stronę profesora z pytającym uśmiechem.

- Mamo, pozwól, to pan profesor van Belfeld z naszego szpitala. Jedzie do Oxfordu i był uprzejmy mnie podrzucić.

- To bardzo miłe z pana strony, panie profesorze - pani Rodner wyciągnęła dłoń na przywitanie. - Proszę do środka na filiżankę kawy.

- Dziękuję, muszę już jechać, w Oxfordzie na mnie czekają - uśmiechnął się przepraszająco van Belfeld.

- W niedzielę po szóstej - dodał, spoglądając na Megan, po czym podał jej z samochodu koszyk z Meredithem i torbę, zajął miejsce za kierownicą i odjechał.

- Uroczy mężczyzna - odezwała się pani Rodner, zerknąwszy na limuzynę, która błyskawicznie zniknęła za najbliższym zakrętem drogi. - Wysoki, przystojny... Tylko chyba nie za bardzo rozmowny.

- Uroczy? - powtórzyła Megan. - Mamo, przecież wszystkie pielęgniarzki z Regent's uciekają gdzie pieprz rośnie, skoro on pojawi się na horyzoncie!

- Taki straszny?

- Nawet nie o to chodzi. Jest bardzo powściągliwy, niewiele się odzywa, nigdy nie podnosi głosu, nawet gdy jest zdenerwowany. Ale przy tym... Absolutnie nie toleruje opieszałości ani niedbalstwa, a jak mu ktoś uchybi, potrafi tak spojrzeć! Do tego wszystkiego to autentyczny Holender. Dziewczyny strasznie się go boją.

- Ty też?

- Ja? Nie, bez przesady.

- Rozumiem, wyższa szarża - stwierdziła pół żartem, pół serio pani Rodner, obejmując córkę ramieniem.

Roześmiały się obie. Megan wzięła koszyk i torbę, i weszły z matką do domu.

- Wiesz, mamo, ja mu się nawet ostatnio raz czy dwa trochę ostrzej odcięłam. Niech nie myśli, że w każdej sprawie ma rację!

- Wszyscy mężczyźni tak myślą, kochanie, i nawet nie zawsze warto wyprowadzać ich z błędu. Napijmy się kawy. Ojciec jest w Thame, wróci na obiad...

- A Melanie?

- Dziś jej kolej na sprzątanie w kościele. Pracuje od wczesnego ranka, powinna się zaraz zjawić.

Usiadły obie przy kuchennym stole. Wypuszczony na wolność z okratowanego koszyka kot zaczął radośnie grasować po kątach.

- Oscar był bardzo zadowolony z weekendu - odezwała się Megan.

- To miły chłopak, dobrze nam tu wszystkim z nim było - stwierdziła matka. - Zupełnie niekłopotliwy gość, zawsze chętnie się kogoś takiego przyjmuje. Szkoda tylko, że ciebie nie było, kochanie. Oj, coś mi blado wyglądasz - pani Rodner przyjrzała się córce nieco uważniej - chyba za dużo pracujesz...

- Może. Ale teraz mam całe dwa dni na absolutne lenistwo. Uwielbiam coś takiego, zwłaszcza tu, w domu. Nigdzie na świecie nie odzyskuje się lepiej sił. Jak tylko będę mogła, zaraz znów przyjadę do Little Swanley.

- A nie wybierasz się czasem z Oscarem z wizytą do jego rodziców?

- Nie, nie sądzę, żeby pani Fielding miała chęć mnie zaprosić, póki nie będzie to konieczne. Nie przepada za mną. I wzajemnie. Powinnyśmy w miarę możliwości trzymać się od siebie z daleka, to moim skromnym zdaniem najrozsądniejsze wyjście.

- Nie byłabym taka... - zaczęła pani Rodner z nutą troski w głosie, ale przerwała w pół zdania, bo właśnie zjawiała się Melanie.

- Meg, ktoś mi mówił w kościele, że przejeżdżałaś przez naszą wieś rollsem, czy to na pewno ty? - zapytała starszą siostrę natychmiast po powitalnych uściskach.

- Owszem, we własnej osobie. Profesor patologii z naszego szpitala jechał do Oxfordu i po drodze mnie podrzucił.

- Profesor? Miły? Młody? Przystojny? Megan wybuchnęła śmiechem.

- Nie sądzę, żeby ci się spodobał, siostrzyczko. Młodziutki nie jest na pewno, bliżej czterdziestki niż trzydziestki. Przystojny? Raczej tak. Ale trudny w kontaktach, powściągliwy, zamknięty w sobie, pełen rezerwy. Mało się odzywa...

- A jeśli już, to z lekkim cudzoziemskim akcentem, bo to autentyczny Holender. Nie wiem, czy oni wszyscy tacy, ale u nas rzadko widuje się mężczyzn równie wysokich i z równie błękitnymi oczyma - wtrąciła matka.

Obydwie córki zachichotały.

- Nie przypuszczałam, że jesteś taka spostrzegawcza, mamó - stwierdziła Megan.

- Szkoda, że Oscar z tobą nie przyjechał, Meg - odezwała się nieoczekiwanie Melanie, szybko poważniejąc.

- Na razie to niemożliwe, Melly, jest strasznie zajęty na oddziale, mówi, że nie ma co liczyć na wolne dni w najbliższym czasie, a jeśli już coś mu się trafi, pojedzie w odwiedziny do swoich rodziców - wyjaśniła Megan. - Miło spędziliście poprzedni weekend, prawda?

- Wspaniale! Byliśmy na spacerze i na obiedzie w naszym pubie...

- Widzę, że dobrze się z nim dogadujesz!

- Nno... chyba tak... Masz mi to za złe, Meg?

- Nie, oczywiście, że nie! Wolę, że się lubicie, niż gdybyście mieli się bocyć. Zgoda w rodzinie to przecież bardzo ważna rzecz, kochanie, a skoro Oscar zamierza zostać twoim szwagrem...

- Dziewczęta! - przerwała dyskusję pani Rodner, najwyraźniej starając się o zmianę tematu. - Chciałabym upiec jakieś ciasto na podwieczorek, ale nie mogę się zdecydować. Może tak byście mi poszukały jakiegoś ciekawego przepisu? Z książki albo z tych wycinków, które zbiera Melly...

Megan i Melanie wyszły z kuchni. Pani Rodner spojrzała za nimi z troską. Jeszcze nie były do końca świadome tego, co zaczynało się pomiędzy nimi rozgrywać w związku z osobą Oscara. Matka już tak. Zdawała sobie sprawę, że dalszy rozwój sytuacji będzie w nieunikniony sposób zmierzał do bolesnego konfliktu uczuć. Wiedziała, przeczuwała... I w żaden sposób nie była w stanie pomóc, zapobiec!

Megan starała się nie zmarnować ani chwili z pogodnego, ciepłego weekendu. Spacerowała, krzątała się po ogrodzie. W niedzielę przed śniadaniem była z Melanie na grzybach, po śniadaniu na nabożeństwie w kościele. Przez cały czas sporo myślała o swoich osobistych sprawach. Doszła do wniosku, że niepotrzebnie dopatruje się zmian w zachowaniu Oscara, czegoś dziwnego czy nietypowego w jego do niej stosunku. Powiedziała sobie, że oboje są po prostu trochę przemęczeni, a w takiej sytuacji nietrudno o niewłaściwe spojrzenie czy niecierpliwe słowo. Że potrzeba im trochę więcej czasu dla siebie, więcej wzajemnej bliskości. I wszystko ułoży się jak najlepiej!

- Byleby nie nabijać sobie głowy bzdurami, jasne? - poleciła ostatecznie samej sobie na głos, biorąc za świadka kota Mereditha i starając się nie pamiętać o niczym kłopotliwym i problematycznym. Nawet o tym, że podczas tego weekendu Oscar ani razu do niej nie zadzwonił, choć wcześniej, gdy wyjeżdżała, zawsze miał zwyczaj to robić.

W niedzielę, znając niezawodną punktualność profesora, Megan była gotowa do drogi już przed szóstą. Bagaż spakowany, kot w podróznym koszyku, rodzina zgromadzona w salonie na pożegnalnej pogawędce, nastrój oczekiwania... Gdy rozległ się stłumiony warkot samochodu, pani Rodner zerwała się z miejsca i rzuciwszy tylko: „Zaczekajcie tu wszyscy!” - wybiegła przed dom. Wróciła po chwili, prowadząc ze sobą profesora. Okazało się, że nawet

zdeklarowany milczek i samotnik nie zawsze jest w stanie odmówić gościnnej i odrobinę natarczywej gospodyni! Van Belfeld uprzejmie przywitał się z panem Rodnerem, skinął głową Megan, wymienił uścisk dłoni z Melanie.

- Wiele o pani od Megan słyszałem - odezwał się z miłym uśmiechem. - Myślę, że było pani przyjemnie mieć znowu siostrę w domu, choćby na krótko, zwłaszcza w taką ładną pogodę.

Ku wielkiemu zdziwieniu całej rodziny, chorobliwie zazwyczaj nieśmiała Melanie odpowiedziała z pełną swobodą:

- Zawsze się cieszę, kiedy Meg jest z nami, ale ładna pogoda też się przydała. Mogłyśmy się wybrać dziś rano, jeszcze przed śniadaniem, na grzyby...

- No tak, na grzybobranie trzeba jak najwcześniej, to w żadnym wypadku nie jest zajęcie dla śpiochów - roześmiał się profesor.

Wymienił jeszcze parę uwag z panią Rodner i panem Rodnerem, po czym zapytał Megan, czy jest gotowa, przepuścił ją przodem, wziął koszyk z Meredithem i skierował się w stronę samochodu. Otworzył Megan drzwi, pomógł jej zająć miejsce, ulokował kota i bagaż, usadowił się za kierownicą, pomachał ręką zgromadzonej przed domem rodzinie Rodnerów, przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił bieg, uruchomił wóz... Na swą pasażerkę zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi. Megan pomyślała nawet z odrobiną irytacji, że dla kogoś takiego, jak on zupełnie nie warto starać się o wygląd! Po czym zarumieniła się, przypominając sobie, że równie płocze myśli nie przystoją zaręczonej przecież dziewczynie. Również pomachała ręką żegnającym. Jak zwykle, trochę jej było żal odjeżdżać z Little Swanley...

Samochód ruszył sprzed domu. Melanie gdzieś odeszła, starsi państwo Rodnerowie zatrzymali się jeszcze na chwilę.

- Jest w niej zakochany - rzekła pani Rodner z pełnym przekonaniem.

- Kto? Ten profesor? W naszej Megan? Mówił ci o tym? - Pan Rodner najwyraźniej nie wziął słów żony serio.

- Oczywiście, że nie! Nie powiedział nikomu, nawet Meg, nie dojrzał jeszcze do tego!

- W jaki więc sposób ty, kochanie, dostrzegłaś tę jego miłość do naszej najstarszej latorośli?

- Kobieca intuicja, mój mężu, kobieca intuicja! Zwróciłeś uwagę, jak na nią spojrział, kiedy wsiadała do samochodu?

- Szczerze mówiąc patrzyłem na samochód, a nie na profesora i Megan...

- Ano właśnie, mężczyźni rzadko zwracają uwagę na to, co trzeba!

- Też coś... Tak czy inaczej, Meg jest już przecież zaręczona, ma tego swojego Oscara!

- O Oscarze już ci mówiłam, zakochał się od pierwszego wejrzenia w Melanie, a ona w nim. Meg na razie nie zdaje sobie z tego sprawy, chociaż coś już chyba niejasno przeczuwa. Problem będzie, kiedy się wyraźnie zorientuje, bo chociaż...

- Ależ, kochanie, więcej cierpliwości, po co uprzedzasz fakty!

- Niczego nie uprzedzam, tylko logicznie przewidyuję. Chociaż Meg tak naprawdę nie kocha Oscara, to znaczy na pewno go lubi, ale nie jest zakochana bez pamięci, z pewnością bardzo boleśnie całą tę historię przeżyje... Spodobał ci się? - spytała pani Rodner męża po chwilowej pauzie.

- Kto? Ten profesor? Nno... chyba tak... A tobie?

- Mnie też. Pasuje do naszej Meg znacznie bardziej niż ten młody doktorek.

- To tu cię boli, kochanie! W takim razie już wiem, dlaczego wyłożyłaś mi tę całą kombinację. Ale co będzie naprawdę, to się dopiero okaże. Cierpliwości, jedyna moja rada. Nie uprzedzajmy faktów...

W drodze powrotnej do Londynu profesor znów prawie wcale się nie odzywał. Megan najpierw usilnie szukała w myślach jakiegoś tematu do rozmowy, w końcu jednak doszła do wniosku, że skoro podróżuje im się całkiem przyjemnie w milczeniu, nie ma sensu podejmować konwersacji na siłę. I tak, w relaksującej ciszy, dotarli aż na Meredith Street.

- Megan, pozwoli pani, że wejdę i upewnię się, czy wszystko w domu w porządku? - zapytał profesor parkując samochód.

- Dziękuję, ale naprawdę nie ma potrzeby... Nie podejmując dyskusji, pomógł Megan wysiąść, przeniósł bagaż i koszyk z kotem przed drzwi sam je otworzył wziętym od właścicielki kluczem; wszedł pierwszy, żeby zapalić światło, cofnął się, przepuścił Megan i wszedł do środka raz jeszcze, z bagażami.

- A może napiłby się pan kawy lub herbaty?' - spytała z nakazu gościnności, spodziewając się oczywiście odmowy.

- Herbaty z wielką przyjemnością - odparł profesor ku jej wielkiemu zaskoczeniu, po czym wsunął się do kuchni i sam nastawił wodę.

Wobec takiego obrotu spraw Megan nie pozostało nic innego, jak tylko przygotować na tacy filiżanki, spodki i łyżeczki, a także wyjąć z torby i pokroić domowe ciasto, które, jak zawsze na odjeźdźnym, upiekła dla niej matka.

Usiedli w pokoju przy stole. Nowe gustowne abażury i świeże zasłony sprawiały, że mimo podniszczonych mebli wewnątrz prezentowało się bardzo wdzięcznie i przytulnie. Megan włączyła staroświecki gazowy kominek i wychłodzony w ciągu dwu dni pokój szybko wypełnił się przyjemnym

cieplem. Wkrótce herbata była gotowa. Wypili po filiżance, przegryzając doskonałym ciastem pani Rodner. I wreszcie zaczęli trochę ze sobą rozmawiać.

- Pani siostra to szalenie sympatyczna dziewczyna, ale chyba bardzo nieśmiała... - profesor odezwał się pierwszy.

- Zauważył to pan? Prawdę mówiąc i tak była dziś wyjątkowo swobodna. Myślę, że pana polubiła.

- W odróżnieniu od pielęgniarek w Regent's, prawda?

- Bez przesady! To wszystko wina legendy, jaka pana otacza. Że na najwyższym piętrze w najstarszej części szpitala kryje się taki groźny i potężny...

- Potwór? - wtrącił profesor z uśmiechem.

- ...groźny i potężny mężczyzna, który nawet w zdenerwowaniu nie podnosi głosu, ale potrafi tak spojrzeć, że byłoby znacznie lepiej, gdyby krzyczał i beształ ile wlezie.

- No, to już wiem, co muszę robić, żeby zaskarbić sobie sympatię siostrzyczek. Krzyzczeć i besztać! Nie, proszę się nie obawiać, nie zacznę eksperymentu od razu - zapewnił ze śmiechem. - Było mi tak przyjemnie, że mogę tylko podziękować. A teraz najwyższa pora, żebym pozwolił pani wypocząć...

Wstał z krzesła. Megan podniosła się również. Przeszli do przedpokoju, zatrzymali się na chwilę przy drzwiach.

- Dobranoc - ściszone niemal do szeptu głosem odezwał się profesor.

Po czym nieoczekiwanie nachylił się i pocałował zaskoczoną Megan w same usta!

Wyszedł... Megan przez dłuższą chwilę stała w bezruchu, spoglądając na zamknięte już drzwi i wsłuchując się najpierw w odgłos kroków przed domem, a potem w delikatny, stłumiony warkot rolls - royce'a.

- No, cóż... - rzekła w końcu sama do siebie. Przeszła z powrotem do pokoju, przysiadła na otomanie, wzięła na kolana kota, zaczęła go w zamyśleniu głaskać i powtórzyła:

- No, cóż...

Niespodziewany pocałunek sprawił jej przyjemność. Nie była w stanie temu zaprzeczyć, choć natychmiast ogarnęło ją poczucie winy. Była przecież „po słowie”, a na jej ręce błyszczał zaręczynowy pierścionek. Energicznie wstała, podeszła do telefonu, wykręciła numer oddziału Oscara. Odebrał osobiście.

- Cześć, Megan. Już wróciłaś? Jak ci się udał weekend? W domu wszyscy zdrowi?

- Dziękuję, tak. Było świetnie! A co u ciebie? Sporo roboty? Będiesz mógł się wyrwać w tygodniu chociaż na pół dnia?

- Owszem, w środę. Ale jadę do rodziców. Może wykroję jeszcze ze dwie godzinki któregoś wieczoru, żebyśmy mogli się spotkać. Dam ci znać. Teraz pędzę bo właśnie mnie wołają!

- To nie zatrzymuję cię dłużej, doktorze. Dobranoc.

Megan odłożyła słuchawkę. Zaczęła się zastanawiać, jak mogliby spędzić ten obiecany wspólny wieczór. Wskoczyć gdzieś na miasto? Zjeść coś smacznego u niej? Pościeliła łóżko, wzięła prysznic, położyła się. Przed zaśnięciem, leżąc w ciemności, zaczęła sobie niewyraźnie uświadamiać, że mimo udanego weekendu wciąż coś ją dręczy, trapi. Coś nieokreślonego, ukrytego bardzo głęboko. Właściwie, nie wiadomo co...

- No, tylko nie nabijać sobie głowy bzdurami! - stwierdziła w końcu półgłosem, znów biorąc kota na świadka.

Usatysfakcjonowana własną rozsądną stanowczością w chwilę później zasnęła.

Od rana na oddziale było stosunkowo spokojnie: zabiegi, przyjęcia, wypisy, normalny szpitalny dzień, bez nadmiernego spiętrzenia spraw czy szaleńczego pośpiechu. Przyjaciółki wypytywały Megan o weekend. Mówiła, że było wspaniale i opowiadała o wszystkim po kolei. Tylko, rzecz jasna, nie o podróży w towarzystwie profesora van Belfelda! Zdawała sobie sprawę, że nawet przyjaciółki lubią nawzajem o sobie poplotkować, a każda plotka wyolbrzymia i przeinacza fakty. Niewinna informacja o podwiezieniu przez profesora zaczęłaby wkrótce krążyć po szpitalu jako historia o tym, że Megan rzuciła Oscara i zamierza stanąć na ślubnym kobiercu u boku van Belfelda. A może nawet o tym, że mariaż siostry oddziałowej i profesora patologii został już w sekrecie zawarty, a wspólny wyjazd do Little Swanley był zakamuflowaną podróżą poślubną?

Popołudnie Megan miała wolne. Wróciła do domu, solidnie posprzątała, zrobiła zakupy, przygotowała sobie i kotu kolację. Przyznała bez wahania, że minął jej udany, miły dzień. Dobry początek udanego tygodnia?

W środę rozpoczął się ostry dyżur, Megan wróciła do domu późno. Zjadła kolację, nakarmiła kota, zrobiła małą przepierkę. Kiedy w końcu przysiadła na chwilę spokojnie z książką w rękę, zadzwonił telefon. Przerwała czytanie i podniosła słuchawkę.

- To ja, Meg! - odezwała się Melanie. - Masz pojęcie, kto u nas dzisiaj był? Nie zgadniesz. Oscar! Wybierał się do rodziców, ale w ostatniej chwili, właściwie już w drodze, zmienił zamiar. Tak mocno go coś ciągnęło tu do nas, na wieś, że po prostu nie umiał się temu oprzeć, tak powiedział. Spędziliśmy cudowny dzień...

- Naprawdę? Byliście na spacerze?

- No pewnie! Przewędrowaliśmy po okolicy ładnych parę kilometrów. Wyjechał dopiero przed godziną.

- Jak dotrze do Londynu, to pewnie do mnie zadzwoni...
- Wiesz co, Meg? Oscar obiecał, że kiedyś przywiezie mnie do ciebie w odwiedziny. Zgodzisz się?
- Oczywiście, Melly! Zanocujesz...
- Nie, nie będę ci robić kłopotu! Oscar obiecał, że wieczorem odwiezie mnie z powrotem do domu... Meg, dlaczego nic nie mówisz, słyszysz mnie, jesteś tam jeszcze?
- Tak, Melly. Tylko... jestem już bardzo... zmęczona.
Dobranoc.

- Dobranoc, kochanie.
Melanie wyłączyła się. Megan odłożyła słuchawkę.
- Jak mogłam tego nie zauważyć? - rzekła ni to sama do siebie, ni to do obserwującego uważnie całą scenę Meredith.
- Przecież oni...

Poczuła, że z oczu zaczynają jej spływać na policzki pojedyncze łzy. Roztarła je gwałtownie dłońmi. Krzyknęła:

- Byłam głupia, byłam po prostu głupia!
Po czym wtuliła twarz w futerko kota, by nie próbując się już hamować, wypłakać w nie cały swój żal.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdyby Megan była egzaltowaną bohaterką książkowego romansu, pewnie czuwałaby przez całą noc, rozpamiętując aż do świtu to, co ją spotkało. Ale u pielęgniarki po całodziennym dyżurze zmęczenie okazało się silniejsze od duchowej rozterki. Przetarła chusteczką swoje oczy i mokre od łez futerko kota, po czym zapadła w sen.

Spała twardo, zbudziła się dopiero nad ranem. Co bynajmniej nie znaczy, że była po nocy odprężona i wypoczęta. Wręcz przeciwnie, czuła się po prostu okropnie. No i nie wiedziała, co robić. Porozmawiać jak najszybciej z Oscarem? Poczekać i najpierw trochę się uspokoić?

Zerknęła w lustro, uznała, że wygląda fatalnie. Przydałby się staranny makijaż, ale nie miała już czasu go zrobić. Gdyby ktoś pytał o przyczyny kiepskiej prezencji, postanowiła wykręcić się... no, powiedzmy... przeziębieniem.

Na szczęście na oddziale panował ruch na tyle duży, że nikt na nic nie zwrócił uwagi. Dopiero przy obiedzie jedna z koleżanek zauważyła:

- Meg, wyglądasz dzisiaj, jakby cię ktoś obił.

- Aż tak źle nie jest! Chyba łapie mnie grypa - odparła Megan z lekka się rumieniąc.

Wszyscy uznali wyjaśnienie za wystarczające. Prawie wszyscy... Bo kiedy w holu Megan natknęła się na profesora i na pytanie, co się jej stało, odpowiedziała tą samą bajeczką, usłyszała:

- Megan, proszę mi nie opowiadać bzdur!

- Ależ, panie profesorze, to prawda! - próbowała upierać się przy swoim.

Van Belfeld jednak, widząc, że drżą jej wargi i wilgotnieją oczy, całkowicie zignorował te wysiłki i stwierdził:

- Zapraszam panią wieczorem na kolację, spokojnie porozmawiamy o wszystkim.

- Nie, nie mogę, muszę się spotkać z Oscarem! - niemal krzyknęła Megan. - Chociaż bardzo panu dziękuję za zaproszenie - dodała ciszej, przypomniawszy sobie o dobrych manierach.

- W takim stanie naprawdę nie powinna się pani z nim spotykać. - Ton głosu profesora był spokojny, lecz zdecydowany. - Trzeba najpierw spokojnie porozmawiać z kimś postronnym, z kimś, powiedzmy, w rodzaju spowiednika bez sutanny, może nawet wypłakać się na jego ramieniu...

Megan zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Spoglądała bezradnie, zdumiona przenikliwością i intuicją profesora. A on dodał tylko, że przyjedzie po nią o wpół do ósmej i, nie przedłużając rozmowy, oddalił się szybkim krokiem w swoją stronę.

Megan wróciła na oddział. Jakoś dotrwała do końca dyżuru.

Oscar przez cały dzień nie dał znaku życia. Traf chciał, że do przypadkowego spotkania gdzieś na terenie szpitala również pomiędzy nimi nie doszło. Megan wróciła do domu. Niemal machinalnie, mając myśli zaprzątnięte zupełnie czym innym, zrobiła sobie makijaż i przebrała się w skromny lecz wizytowy strój: ciemnozieloną spódnicę z tafty, białą krepową bluzkę z długimi rękawami i czarne eleganckie pantofle. Na wierzch narzuciła wełniany płaszcz w kolorze harmonizującym ze spódnicą. Szykując się, wciąż na próżno czekała na telefon od Oscara. W końcu sama postanowiła zadzwonić. I już zaczęła wybierać numer, gdy rozległo się stukanie do drzwi.

Odłożyła słuchawkę, nie trafiając w pośpiechu dokładnie na widelki, i pobiegła otworzyć. Profesor wszedł, rozejrzał się uważnie po pokoju. Zatrzymał dłużej wzrok na aparacie telefonicznym i rzekł spokojnym, lecz dobitnym tonem:

- No, Megan, proszę dzwonić, jeśli ma pani chęć. Mamy mnóstwo czasu. W lokalu czekają na nas trochę z kolacją, a zresztą zawsze można odwołać zarezerwowany stolik...

- Nie, nie trzeba! - Megan poczuła nagle, że jest głodna prawie tak bardzo, jak nieszczęśliwa. - Nie będę dzwonić. Jestem gotowa do wyjścia.

Wyszli, wsiedli do samochodu i odjechali, zdążywszy jeszcze tylko spostrzec, że szary rolls - royce wzbudził wyjątkowe zainteresowanie sąsiadów Megan. Prawie z każdego okna ktoś zerkał zza firanek.

- Jest pani w dobrej komitywie z tymi ludźmi? - spytał profesor. - Trzeba było im pomachać na do widzenia - zasugerował kpiarskim tonem.

- Oj, chyba nie byliby zachwyceni! Wolą udawać, że ich nie ma, przecież wiedzą, co jest pierwszym stopniem do piekła - odparła Megan.

I jej twarz, po raz pierwszy tego fatalnego dnia, rozjaśniła się w lekkim uśmiechu.

Podczas jazdy samochodem, przez mocno jeszcze zatłoczone wczesnym wieczorem londyńskie ulice, Megan i profesor van Belfeld rozmawiali niewiele. Wymienili parę uwag o pogodzie, podzielili się jakimiś nowinkami ze szpitala... W końcu profesor oznajmił lakonicznie:

- To tu.

Zatrzymali się przy Charlotte Street, przed znaną francuską restauracją. Wyszli. Weszli do wytwornego wnętrza. Megan rozejrzała się trochę niepewnie, stwierdziwszy jednak, że jej strój w zestawieniu z innymi kreacjami pań prezentuje się jak najbardziej odpowiednio, odetchnęła z ulgą. Zajęli miejsca przy wskazanym przez szefa sali stoliku, troszeczkę na uboczu, w wygodnym, niekrepującym odosobnieniu. Megan wciąż czuła się z lekka skrepowana, natomiast profesor, bardzo elegancki w

ciemnoszarym garniturze i jedwabnym krawacie, zachowywał się całkowicie swobodnie. Ekskluzywny lokal najwyraźniej nie robił na nim wrażenia. Domyślała się, że musi tu być częstym gościem.

Podano drinki i kartę. Megan wybrała mousse z homara na przystawkę, a jako danie główne kotlety jagnięce z bazylią, sosem maderowym i ziemniakami puree. Profesor zdecydował się na homara i befsztyki tournedos. Do posiłku zamówił dla obojga wino ze swego ulubionego, najprzedniejszego, jak stwierdził tonem znawcy, rocznika.

Megan zjadła z apetytem, wypiała dwie lampki wina. Poczula się wyraźnie pokrzepiona, ku swemu własnemu zaskoczeniu także na duszy, a nie tylko na ciele.

- Niczym innym nie da się tak podreperować nadwątlonego ducha, jak odpowiednio dobranym winem, prawda? - profesor zdawał się czytać w jej myślach.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

- No, to proszę mi teraz spokojnie powiedzieć, w czym problem - zaproponował, kiedy podano kawę.

- Chodzi o Oscara... - zaczęła Megan trochę niepewnym tonem. - On... on się... zakochał... w Melanie, mojej siostrze! A ona w nim, chociaż nie wiem, czy już to sobie jasno uświadomiła. Oscar... On mi wczoraj powiedział, że jedzie do swoich rodziców, a tymczasem spędził cały dzień w Little Swanley. I po powrocie nawet się nie odezwał! Czuję się teraz... Sama nie wiem, jak to określić... Melanie to takie drogie dziecko, chciałabym, żeby była szczęśliwa, ale przecież... - Megan naląła profesorowi i sobie z dzbanka do filiżanek jeszcze trochę kawy. - ..Przecież - zaczęła znowu - myślałam, że Oscar mnie lubi, że będziemy razem... Chyba mnie lubił, owszem, ale wygląda na to, że dopiero teraz jest zakochany bez pamięci.

- A pani kocha się w Oscarze bez pamięci, czy raczej tylko go lubi?

Megan zarumieniła się. Musiała przyznać, że profesor trafił swym pytaniem w samo sedno sprawy.

- Cóż, wydawało mi się... - zaczęła z wahaniem.

- Wydawało mi się, że traktuję go w sensie uczuciowym mniej więcej tak samo, jak on mnie. Wielka sympatia, jednak bez szaleństw. Nie sądziłam, żeby szaleńcza, romantyczna miłość była naprawdę możliwa w życiu. Myślałam, że tylko w książkach. A tymczasem Oscar i Melanie... Zupełnie nie mam teraz pojęcia, co robić. Czuję się, jakbym trafiła w ślepy zaułek. Albo jakbym musiała rozbijać głową mur!

- Na czym niestety mur by nie ucierpiał, tylko głowa, prawda? - odezwał się profesor lekko żartobliwym tonem, lecz natychmiast spoważniał i dodał:

- Gdybym miał coś na serio doradzać, Megan, powiedziałbym tak: Powinna pani pojechać do domu i porozmawiać z siostrą, żeby się upewnić, czy ona naprawdę jest zakochana w Oscarze. Bo chociaż wydaje mi się to mało prawdopodobne, a nuż jednak wszystko jest tylko jakimś nieporozumieniem?

- Ale ja będę miała wolny weekend dopiero w przyszłym tygodniu!

- Tym lepiej. Zdaży się pani oswoić z całą sytuacją, będzie pani w stanie rozmawiać spokojniej, niż na przykład dziś czy jutro.

- A co z Oscarem? Jak tymczasem powinnam się zachowywać wobec niego?

- Wyjście łatwiejsze: znaleźć jakikolwiek pretekst i nie widywać się z nim. Wyjście trudniejsze: widywać się jakby nigdy nic i dyplomatycznie sondować jego intencje. Wyrobić sobie trzeźwą opinię przed ostateczną rozmową, która powinna nastąpić już po spotkaniu z siostrą.

Profesor zamilkł. Megan również nic nie mówiła, zastanawiając się, w jaki sposób powściągliwy patolog zdobył kwalifikacje tak wspaniałego psychologa, znawcy kobiecej duszy. Przy okazji intymnych rozmów z żoną? Jakichś problemów z dorastającymi córkami? Megan nie miała śmiałości zapytać ani o żonę, ani o córki, ani o problemy. Zauważyła tylko, lekko się rumieniąc:

- Udziela pan takich trafnych rad, panie profesorze. I tak świetnie mówi pan po angielsku!

- Miałem w dzieciństwie nianię Angielkę, wciąż jeszcze jest u nas w domu. I studiowałem przez kilka lat w Cambridge - wyjaśnił krótko.

- Ach, tak...

Megan nie chciała być posądzona o wścibstwo, zaprzestała więc dalszych pytań. Powiedziała tylko:

- Dziękuję. Dziękuję panu za wszystko. I lekko uniosła się z krzesła, dając w ten sposób znak, że chciałyby już wracać do domu.

Profesor odwiózł ją na Meredith Street, jak zwykle pomógł wysiąść, podprowadził do drzwi, poprosił o klucz i sam je otworzył, zapalił światło, sprawdził, czy w mieszkaniu wszystko w porządku. Potem dość niecierpliwie wysłuchał powtórných podziękowań, pożegnał się i odjechał.

- Na pewno nie chciał, żebym go zatrzymywała - zapewniła swego kota.

W ciągu kilku następnych dni Megan nie spotkała profesora ani razu. Idąc do laboratorium rentgenowskiego natknęła się za to na Oscara. Wybrała trudniejsze wyjście: choć kosztowało ją to wiele, starała się zachowywać jakby nigdy nic. On podjął podobną grę. Zaprosił ją nawet na drinka do pubu naprzeciwko szpitala. Kiedy tam szli, Megan zauważyła profesora, który wyjeżdżał właśnie swoim rollsem z dziedzińca Regent's na ulicę. Oderwał dłoń od kierownicy,

uniósł ją lekko w geście pozdrowienia. A może pochwały dla ambitnej uczennicy za trafnie dokonany wybór?

Zgodnie z przewidywaniami profesora, nim Megan doczekała się wolnego weekendu, była już w stanie myśleć i rozmawiać o swoim, Oscara i Melanie problemie spokojnie, trzeźwo, bez zalewania się łzami. Dlatego najwyraźniej zakłopotanej matce powiedziała od razu, przy powitaniu:

- Mamo, już wszystko wiem, nie denerwuj się, nie będzie żadnych scen. Chciałabym tylko pogadać tak od serca z Melly i oczywiście z wami, zanim zdecyduję się ostatecznie rozmówić z Oscarem.

- Kochanie, twój ojciec i ja tak bardzo to wszystko przeżywamy! Melanie też jest w rozterce, mogę cię zapewnić... Teraz nie ma jej w domu, pobiegła na farmę Cobbsów.

- Biedactwo! Nie musi przede mną uciekać ani niczego się obawiać! Chciałabym tylko wiedzieć, czy naprawdę kocha Oscara, a on ją. A ty, jak sądzisz, mamo?

- Moim zdaniem to jest miłość. Wzajemna. Od pierwszego wejrzenia. Coś takiego, czemu nie sposób się przeciwstawić. Nagłe olśnienie, po którym już się wie z całą pewnością, że życie bez tej drugiej osoby po prostu nie miałyby sensu. Znasz to wrażenie, córeczko? Odczułaś je, kiedy poznałaś Oscara?

Megan nie odpowiedziała od razu. Przeszła wraz z matką do kuchni, naląła dla niej i dla siebie kawy do filiżanek, uwolniła Mereditha z zamkniętego podróżnego koszyka. I dopiero wtedy, przysiadłszy naprzeciwko pani Rodner przy kuchennym stole, stwierdziła:

- Nie, mamo. Czegóż takiego nigdy dotąd nie odczułam. Myślałam sobie, że mogę mieć z Oscarem udane życie, bo kiedy się spotykaliśmy, było mi... czy ja wiem... chyba miło, przyjemnie... To przecież taki dobry i wartościowy chłopak!

- Moje drogie dziecko, kiedy kobieta naprawdę, tak bez pamięci się zakocha, raczej nie zwraca uwagi na cechy charakteru swego wybranka. Można pokochać zrzędę, mruka, skąpca, a nawet skończonego drania.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Córka siedziała zamyślona. Matka piła powoli kawę. Kot zawzięcie penetrował kuchenne zakamarki. W końcu Megan odezwała się z lekka drżącym, lecz jednak zdecydowanym głosem:

- Mamo, chcę powiedzieć Melanie, żeby nie miała oporów ani nie robiła sobie żadnych wyrzutów. I że serce mi nie pękło, tylko trochę boli, ale to minie. I że im szybciej ja i Oscar zerwiemy zaręczyny, tym lepiej. Niech się im obojgu szczęści, niczego więcej nie chcę!

Pani Rodner głęboko westchnęła.

- Dzielna z ciebie dziewczyna, Meg - rzekła z podziwem - dzielna i dobra. Podjąć taką trudną, bolesną decyzję, samodzielnie bez niczyjej rady...

Megan spłonęła rumieńcem.

- No, może nie tak całkiem bez niczyjej rady, mamo. Tak się złożyło... Profesor van Belfeld dowiedział się... to znaczy domyślił się... że coś jest nie tak. Wyciągnął ze mnie wszystko... Rozmawialiśmy... Mamo, robię dokładnie to, co on mi doradził.

- Ależ to musi być mądry człowiek! Z intuicją. No i doświadczeniem. Pewnie jest żonaty, może ma dorastające dzieci?

- Nigdy nie mówi o swoim życiu osobistym, ale można się domyślać, że tak.

- No cóż, byłoby to raczej naturalne, nie jest już przecież młodzińcem...

- Nie jest też stary, najwyżej zbliża się do czterdziestki! - wyrwało się Megan tak jakoś gwałtownie, że aż matka

skierowała w jej stronę uważne, badawcze spojrzenie i zamyśliła się.

Czyżby córka nie zwierzyła się dotąd ze wszystkiego? Pani Rodner była wprawdzie niemal pewna, że profesor darzy Megan szczególnym zainteresowaniem, jednak nie podejrzewała jej dotąd o wzajemność. Tymczasem... Cóż, bywa, że żonaty mężczyzna, przebywający przez całe tygodnie z dala od domu, w dodatku za granicą, wdaje się w jakąś sercową aferę. Gdyby Megan miało coś takiego spotkać... Fatalna sprawa, rzecz bez przyszłości, nieuchronne rozczarowanie! Swoją drogą, czy on wygląda na tuzinkowego poszukiwacza pozamałżeńskich przygód? Chyba jednak nie. Może jest wdowcem? A może traktuje Megan wyłącznie jak młodszą koleżankę, której trzeba było pomóc, kiedy znalazła się w kłopotach, i to wszystko? Nie! Gdy na nią patrzył, w jego wzroku było coś takiego... Uczucie, z całą pewnością, nie sposób inaczej to określić. Czyżby Megan zdawała sobie z tego sprawę? Czyżby miała to uczucie odwzajemniać?

Pani Rodner spojrzała nagle na zegarek.

- Chciałabyś porozmawiać z Melanie od razu, Meg? - zapytała. - Jeśli tak, to wyjdź jej naprzeciw. Podczas spaceru łatwiej mówić o trudnych sprawach niż twarzą w twarz w zamkniętym pomieszczeniu. Otwarta przestrzeń zawsze trochę rozładowuje napięcie.

- Chyba masz rację, mamó. Pójdę i rozejrzę się za Melly. Im szybciej będziemy miały tę rozmowę za sobą, tym lepiej.

Megan wyszła. Wróciła, prowadząc pod rękę zapłakaną Melanie, dopiero w porze obiadu. W jej oczach nie było widać śladów łez, jednak matka doskonale zdawała sobie sprawę, że pozorny spokój starszej córki to tylko efekt ogromnych starań z jej strony, olbrzymiego wysiłku. Ze musi upłynąć sporo czasu i musi wydarzyć się wiele rzeczy, nim Megan tak naprawdę wróci do równowagi.

Pani Rodner uprzedziła męża, który, przyjechawszy prosto ze swej kancelarii w Thame, zjawił się na obiedzie trochę przed dziewczętami, żeby już o nic Megan nie wypytywał ani nie robił dodatkowych komentarzy. Obiecała sama mu później o wszystkim opowiedzieć. Pan Rodner stanął na wysokości zadania. Mocno uściskał córkę i powiedział tylko:

- Tak bardzo się cieszę, że znów jesteś w domu, Meg. Popracujemy razem w ogrodzie?

Chyba właśnie tego było Megan najbardziej potrzeba. Mozolnej, fizycznej pracy aż do kompletnego zmęczenia, aż do bólu wszystkich mięśni, który stłumiłby, zagłuszył ból serca. Całego popołudnia na świeżym powietrzu i szybkiego zaśnięcia wieczorem, nim łyzy zdołałyby zbyt mocno przemoczyć poduszkę.

Rozmowa z matką, z siostrą, następnego dnia z obojgiem rodziców... Przed Megan pozostała jeszcze ta ostatnia, najważniejsza i chyba najtrudniejsza, z Oscarem. Jadąc w niedzielę po południu z powrotem do Londynu, przez cały czas próbowała układać sobie w myślach jej przebieg. Usiłowała planować, jaka to będzie w jej trakcie opanowana i rozsądna, jak to za nic na świecie nie da po sobie poznać, że czuje się... Odtrącona? Upokorzona?

Doszła do wniosku, że bez względu na ewentualny scenariusz trzeba przeprowadzić tę rozmowę jak najszybciej. Postanowiła nie czekać na telefon od Oscara. Zostawi mu wiadomość na portierni, zaproponuje spotkanie. Niech się to wszystko już skończy! Gdy sytuacja będzie już całkiem jasna, z miejsca poinformuje przyjaciółki. Czegoś takiego nie da się przecież ukryć. W szpitalu będzie głośno od plotek i komentarzy, to nieuniknione, trudno. Z całą pewnością jednak ludzkie wścibstwo i upodobanie do sensacji szybko znajdzie sobie jakąś nową pożywkę i wreszcie będzie spokój.

Spokój? Na razie to uczucie wydawało się Megan całkiem obce, niemalże nierealne. Zwłaszcza od chwili, gdy we wtorek około południa portier przekazał jej karteczkę napisaną ręką Oscara: „Będę wolny dzisiaj o szóstej. Zapraszam cię na drinka, czekam tam, gdzie zawsze”.

Kolejne godziny wlokły się Megan bez końca. Męczyła ją przy tym obawa, że kiedy wreszcie zobaczy Oscara, zapomni o wszystkim, co tak solennie sobie postanowiła, i po prostu wybuchnie płaczem. Zrezygnowana, roztrzęsiona dotrwała jakoś do piątej, do końca dyżuru. Ostatnią godzinę oczekiwania, jaka jej jeszcze została, postanowiła spędzić w domu. Chciała się przebrać, odświeżyć...

W drzwiach szpitala natknęła się na wchodzącego właśnie do środka profesora van Belfelda. Zatrzymał się i uśmiechnął.

- Decydujący wieczór? Rozmowa z młodym Fieldingiem?
- zapytał. - Doskonale! Im prędzej, tym lepiej! Tylko spokojnie, Megan, a nie będzie tak źle. Później o wszystkim porozmawiamy.

Przyszło jej do głowy, że miałyby chęć nie tyle porozmawiać, ile porządnie wypłakać się profesorowi w kamizelkę, najlepiej teraz, od razu. Oczywiście nie zwierzyła mu się z tego. Spytała tylko, nie kryjąc zdziwienia:

- A skąd pan wie, że będę rozmawiała z Oscarem?

- To proste, zerknąłem do książki dyżurów lekarzy. Wiem więc, że ma wolny wieczór. No, proszę pędzić i wreszcie przez to przejść. Potem będzie już coraz lżej. - Profesor uśmiechnął się jeszcze raz i ruszył w swoją stronę.

Dziwna rzecz, ale po tym spotkaniu Megan poczuła się lepiej. Profesor dawał jej nieoczekiwanie mocne oparcie. Tak jakoś wnikliwie, uważnie umiał słuchać. Tak życzliwie doradzić. I tak spojrzeć... Że ciarki? Nie, że robiło się lżej na sercu i jakby cieplej, bezpieczniej.

Megan dotarła do domu, nakarmiła kota, wypła filiżankę herbaty i z powrotem zaczęła szykować się do wyjścia. Chciała się jakoś odpowiednio ubrać, wydawało jej się to ważne, chociaż w zasadzie nie potrafiła określić, dlaczego. Ostatecznie zdecydowała się na wełnianą spódnicę w czarno - białą kratę, skromną bluzkę i pasowy pulowerek dla ożywienia całości którą uzupełniał jeszcze żakiet z czarnego sztruku.

Oscar czekał przy wejściu do szpitala. Przeszli razem na drugą stronę ulicy, do pubu, usiedli przy stoliku.

- Co zamawiasz?

- Poproszę o tonik - uśmiechnęła się Megan, za wszelką cenę starając się zachować zimną krew.

Spojrzała na Oscara. Wyglądał nieszczęśliwie, wyraźnie było widać, że jest zdenerwowany, a nawet wręcz wystraszone.

- Mam tylko pół godzinki... - zaczął, wróciwszy z napojami.

- Rozumiem. W takim razie bardzo cię proszę, żebyś mi nie przerywał, kiedy będę mówiła. A mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego. Oscar, wiem o tobie i Melanie. Nie przerywaj, prosiłam! Byłam w domu, rozmawiałam z nią, wszystko jest w porządku. Po prostu mnie za mało kochałeś, a ją kochasz całym sercem, prawda?

Megan zdołała wypowiedzieć wszystko, co sobie zaplanowała, zdecydowanym i spokojnym tonem. Naprawdę roztrzęsiona poczuła się dopiero, kiedy umilkła. Przełknęła odrobinę toniku i pomyślała, że trzeba było poprosić o coś mocniejszego.

Po chwili znów się jakoś opanowała. Na tyle przynajmniej, żeby zsunąć z palca zaręczynowy pierścionek, położyć go przed Oscarem na blacie stolika i powiedzieć:

- Nie czuj się winny, Oscarze, takie rzeczy się zdarzają. Bądź dla Melanie dobrym mężem, a dla mnie... miłym szwagrem. To też rodzina, jak by nie było.

- Megan, ja... chciałem ci sam o wszystkim... - Oscar mówił urywanymi, nie dokończonymi zdaniami. - Ale nie wiedziałem... Myślałem... Bałem się, że za bardzo to przeżyjesz! Nie masz żadnych... pretensji? A może ty mnie... w ogóle... nie kochałaś?

- Oczywiście, że mam pretensje, oczywiście, że cię kochałam! - W tonie lekko podniesionego głosu Megan pobrzmiwało zniecierpliwienie i sporo niekłamanej goryczy. - Kochałam, chociaż też może trochę za słabo. I przeżyłam! Ale serce mi nie pękło, tylko trochę od czasu do czasu boli.

- Och, Meg, tak mi przykro. Powinienem był ci powiedzieć od razu. To wszystko stało się tak nagle. Zobaczyłem ją po raz pierwszy i od razu poczułem coś jakby olśnienie, oślepiający błysk... Planujemy wkrótce się pobrać, zaraz po stażu podejmę praktykę na prowincji.

- Widzę, że naprawdę kochasz Melanie - odezwała się Megan. - Tak łatwo zdecydowałaś się pozmieniać dla niej wszystkie swoje plany, zrezygnować z kliniki, z Londynu. A dla mnie... - Poczula, że jeśli wypowie jeszcze choćby jedno słowo na ten temat, nie zdoła się powstrzymać i wybuchnie płaczem. Rzuciła więc tylko: - Muszę pędzić. Zadzwoń jak najszybciej do Melly, niech się nie martwi!

Po czym zerwała się z miejsca, wybiegła z pubu i dławiąc się łzami, ruszyła szybkim krokiem prosto do siebie, na Meredith Street.

Przed domem zauważyła szarego rolls - royce'a. I profesora, który, oparty niedbale o maskę samochodu, coś tam opowiadał otaczającym go ciasnym wianuszkiem dzieciakom. Na widok Megan z miejsca rozsunał przepychający się wokół niego tłumek i podszedł do drzwi mieszkania, żeby, jak

zwykle, otworzyć je wyjętym z rąk właścicielki kluczem i sprawdzić, czy wewnątrz wszystko w porządku.

- Proszę zostawić mnie samą! - wykrztusiła Megan, przełykając łzy.

Profesor nie zareagował. W milczeniu ujął ją pod rękę, wprowadził do pokoju, usadowił w fotelu, położył na jej kolanach kota.

- Najlepiej teraz pani zrobi filiżanka mocnej herbaty - odezwał się w końcu łagodnym, ciepłym tonem. - Angielska herbata to najlepszy środek na stargane nerwy, zdążyłem się już nieraz o tym przekonać. Oczywiście dobrze osłodzona. I z mlekiem.

Wszedł do kuchni nastawić wodę, wrócił, zaczął wyciągać z kredensu filiżanki i spodki. Megan, wciąż oniemiała z osłupienia, machinalnie głaskała kota.

- Herbata to będzie oczywiście tylko doraźna pomoc - podjął profesor, równie łagodnie i ciepło, jak poprzednio. - W ramach prawdziwej, regularnej kuracji zaordynuję pani... mhm... małą przejażdżkę, małą przekąskę i dużego szampana!

- Szampana? - wykrztusiła Megan przez łzy. - Uważa pan, że powinnam to uczcić? Och, nie, proszę już sobie iść!

Profesor znów zignorował słowa Megan. Wręczył jej tylko dużą śnieżnobiałą chusteczkę do nosa, a potem zajął się zaparzeniem herbaty. Ustawił tacę na stoliku obok fotela i podał jej pełną, parującą filiżankę.

- Proszę pić, póki gorąca i nie płakać, ale tylko w chwili przełykania. Poza tym można.

- Nie chcę tej herbaty!

- Gorzkie lekarstwo, gorzkie, ale pomoże. Trzeba wypić. Posłusznie wypila parę łyków.

- Pomogło?

- Oczywiście, że nie! Chciałabym zostać sama i swobodnie się wypłakać!

Profesor odebrał jej chusteczkę.

- Płaczu już wystarczy - rzekł zdecydowanym tonem. - Najgorsze minęło, Megan. Proszę grzecznie pić. I pomyśleć sobie na pocieszenie, że do tej pory było troje nieszczęśliwych ludzi, a została już tylko jedna taka osoba.

- Właśnie ja?

- Tak. Jednak przecież tylko do czasu. No, jeszcze parę łyków. Trochę lepiej?

- Dziwne, ale chyba tak. Dziękuję. Pan jest taki miły, a ja zachowuję się tak okropnie!

- Nieważne, mam nadzieję, że też tylko do czasu. No, proszę skończyć herbatę, wstać z fotela i pójść umyć buzię. Zaraz wychodzimy, jestem piekielnie głodny.

- Nie mogę nigdzie iść, wyglądam jak straszdyło!

- Całkiem urocze straszdyło. Proszę się nie upierać. Wystarczy grzebień i odrobina pudru na nosek...

Megan wstała, zerknęła w lusterko i stwierdziła, że z jej wyglądem w istocie nie jest może aż tak źle, jak sądziła. Zaświtały jej jednak w głowie inne obiekcje.

- To bardzo miłe z pana strony, że mnie pan zaprasza, ale... Chyba nie powinnam... Pańska żona mogłaby... Mogłaby mieć zastrzeżenia, gdyby się dowiedziała!

- Jestem pewien, że żadne zastrzeżenia z tej strony nie wchodzi w grę - oświadczył profesor z pełnym przekonaniem, po czym jak gdyby nigdy nic zajął się drapaniem Meredith'a za uszami.

Megan przeszła do łazienki, umyła twarz, uczesała się, upudrowała. Od razu poczuła się lepiej. Wróciła do pokoju. Profesor siedział w fotelu i dalej droczył się z kotem.

- Uważa pan, że jestem staroświecka? - zapytała, nawiązując do poprzedniej wymiany zdań.

- Ja też jestem staroświecki, więc mamy remis - odpowiedział, spoglądając na nią uważnie, po czym dodał: -

Może i staroświecka, lecz, jak już powiedziałem, urocza. Jedziemy!

Wyszli, wsiedli do samochodu, ruszyli. Wyjechali z Londynu trasą M4, odbijając tuż przed Windsorem do Datchet, niewielkiej miejscowości znanej ze stylowego hotelu ze skromną, lecz bardzo przyjemną restauracją. Weszli do środka, wypili drinka przy barze, usiedli przy usytuowanym trochę na uboczu stoliku, zaczęli studiować menu.

- Czy ma pani na coś szczególną ochotę? Megan przecząco potrząsnęła głową.

- W takim razie proszę zdać się na mnie i pozwolić, żebym sam zdecydował. Na początek niech będzie może sałatka la Nicoise: smażone małe pomidorki, czosnek, fasolka szparagowa... A potem? Podają tu przepyszną kaczkę w pomarańczach!

- Był pan już kiedyś w tej restauracji? - Jestem przezorny, zawsze wolę najpierw sam sprawdzić, co i jak. Do kaczki duszona cykoria i ziemniaki saute?

Megan zgodziła się dość obojętnie. Profesor złożył zamówienie u kelnera. Nim podano sałatkę i szampana, zaczął zabawiać Megan jakąś lekką, zabawną opowieścią, podczas całego posiłku również rozmawiał z nią w tym samym stylu. Na deser zamówił brzoskwinie w syropie i kawę. Gdy już kończyli, spytał ją, czy ma dyżur od rana. Potwierdziła.

- Jeśli tak, to musimy wracać. Teraz najbardziej jest pani potrzebny spokojny, krzepiący sen.

Wyszli do samochodu. Megan czuła się lekko oszołomiona wrażeniami całego dnia i wypitym do kolacji szampanem. Profesor odwiózł ją do domu. Swoim zwyczajem wszedł pierwszy, zapalił światło i skontrolował wnętrze. Potem zaraz się pożegnał. Zniknął tak szybko, że zdążyła powiedzieć mu tylko: „Dziękuję”.

- Jestem pewna, kotku - poskarżyła się głośno Meredithowi, kiedy zostali już tylko we dwójkę - że teraz ten holenderski dżentelmen przez parę dni nawet się do mnie nie odezwie.

Kocur w odpowiedzi tylko ziewnął i najwyraźniej zupełnie się nie wzruszył. Jednak później, gdy Megan przed zaśnięciem cichutko łkała w poduszkę, zaczął jej mruczeć prosto do ucha coś tam po swojemu na pocieszenie.

Co do profesora van Belfelda nie pomyliła się ani trochę: przez kilka kolejnych dni w ogóle nie pokazywał się jej na oczy. Wciąż natomiast, jakby za sprawą złośliwości losu, to tu, to tam, w polu jej widzenia pojawiał się Oscar. Wymieniali pozdrowienia, szli każde w swoją stronę... Cały szpital już wiedział, cały szpital huczał od plotek. Na szczęście dość szybko wszystko ucichło, sytuacja została uznana za normalną. Melanie i Oscar byli szczęśliwi. Megan mówiła sobie, że czas uleczy w końcu także jej rany, na razie jednak wciąż czuła się wytrącona z równowagi, smutna i bardzo, bardzo samotna.

- Proszę się tak nie martwić, Megan, jeszcze trochę i najgorszy kryzys minie. Dzień dobry! - W taki, dość bezceremonialny sposób przywitał ją profesor, gdy wreszcie któregoś dnia wpadli na siebie w szpitalnym holu.

- Dzień dobry - odpowiedziała raczej chłodno. - Martwię się tylko tyle, ile muszę. Poza tym z wielu rzeczy się cieszę, choćby z tego, że Melanie i Oscar są szczęśliwi.

- To dobrze, że umie się pani z tego cieszyć, Megan. W pani wieku jeszcze nie pora na zgorzknienie. Można się zakochać, odkochać, znowu zakochać... Tak, powiedziałbym, na próbę, dla wprawy, żeby bez wahania rozpoznać to prawdziwe uczucie, kiedy się w końcu pojawi. Żeby było łatwiej odróżnić ziarno od plew!

- Panie profesorze - odezwała się sucho Megan, trochę zniecierpliwiona gadaniną zdeklarowanego przecież milczka. - Doskonale się orientuję, że jest pan w tym szpitalu konsultantem, ale w sprawach prywatnych żadna konsultacja naprawdę nie jest mi w tej chwili potrzebna...

- Aha, to tu nas boli! Niepotrzebnie. Zawsze warto wysłuchać bardziej doświadczonego człowieka. Ale dobrze, założmy, że na tamten temat skończyłem wykladać i teraz z innej beczki. Kiedy ma pani najbliższy wolny dzień? Jutro, prawda? Przyjadę po panią o wpół do dziewiątej i zawiozę do domu, niech się rodzinka przekona, że z Meg już wszystko w porządku.

Megan wzięła głęboki oddech.

- Ależ ja wcale nie chcę... - zaczęła.

- O wpół do dziewiątej, jutro - przerwał jej profesor, po czym, aby uniemożliwić jakikolwiek dalszy sprzeciw, odszedł energicznym krokiem w swoją stronę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Megan wprowadzie przez cały dzień wielokrotnie sobie powtarzała, że nie zamierza nigdzie jechać w towarzystwie profesora, wieczorem zaczęła jednak przepatrywać garderobę pod kątem stroju na drogę. Wybrała elegancki szary żakiecik i układaną spódnicę. Położyła się spać. Po półgodzinie, nie zdoławszy usnąć, podniosła się z łóżka i schowała w głąb szafy przygotowaną na rano kreację. Po ponownym długim namyśle zdecydowała się ubrać na sportowo, a równocześnie „na cebulkę”: żakiet ze sztruksu w kolorze brzoskwini, pod to brązowy wełniany bezrękawnik i koszulowa bluzka z rdzawej bawełny. Pomyślała, że pogoda może być różna i że przecież, będąc w domu, zechce sobie swobodnie pospacerować, a może nawet podłubać w ogrodzie. I że nie musi się stroić... Nie, nie musi, bo niema już dla kogo! - uprzytomniła sobie nagle i zalała się łzami. Wróciła do łóżka. Zapłakana zasnęła.

Sen, niespokojny i raczej płytki, nie przyniósł jej pokrzepienia. Gdy zbudziła się rano i spojrzała w lustro, stwierdziła, że wygląda okropnie. Próbowwała wprowadzić jakoś zamaskować swoją kiepską prezencję makijażem, kiedy jednak profesor, zjawiwszy się zgodnie z zapowiedzią punktualnie o ósmej trzydzieści, raz tylko na nią spojrział, odgadł od razu:

- Znów pani płakała, fe, nieładnie...

Ulokował bagaż w bagażniku, Meredith na tylnym siedzeniu, a Megan z przodu obok siebie, po czym, nie patrząc nawet w jej stronę, zapytał:

- O której mniej więcej byłaby pani w domu tym swoim mini?

- Około jedenastej...

- W takim razie pojedziemy okreśną drogą, przez High Wycombe. Meg, niech to będzie czas na wytłumaczenie się, czemu znów pani wygląda jak z krzyża zdjęta!

- Nie jest chyba aż tak źle, to tylko lekkie przemęczenie...
- Skoro chce pani to nazywać lekkim przemęczeniem, proszę bardzo. Ale tłumaczyć trzeba się tak czy tak. Nie radzi sobie pani z oddziałem?
- Też coś! Ależ radzę sobie, już piąty rok.
- A więc rutyna, moja droga, nużąca rutyna, to bywa jeszcze gorsze od braku wprawy. Czas na zmianę!
- Czy chce pan taktownie zasugerować, że skoro nie wyszło mi z Oscarem, to powinnam opuścić Regent's?
- W żadnym wypadku, Megan! Co ma piernik do wiatraka? To znaczy, co ma Oscar, chciałem powiedzieć. Nie chodzi mi ani o niego, ani o szpital, tylko o panią. Myślę, że dobrze by pani zrobiła zmiana otoczenia. Bo gotowa pani bez końca rozdrapywać zabliznione rany, a to naprawdę nie ma sensu. Szkoda czasu, Meg!

Megan kipiała ze złości, ale nie odzywała się.

I choć z wielką niechęcią, przyznawała w myślach profesorowi trochę racji. Wyjechać z Londynu, rozpocząć wszystko od nowa, nie spotykać już na co dzień Oscara... Może faktycznie tak byłoby lepiej? Próbowała zebrać myśli, zastanowić się nad możliwościami doprowadzenia do jakichś radykalnych zmian w swym dotychczasowym, w miarę uporządkowanym i zaplanowanym życiu. Jednak profesor przerwał jej rozmyślenia już na samym początku.

- Proszę na razie zapomnieć o poważnych życiowych decyzjach, Meg. Cieszyć się chwilą, cieszyć się pięknym dniem. Popatrzeć, jak tu ładnie dookoła. Przyjemnie jechać taką boczną drogą, prawda? Blisko łąk, pastwisk, pól... O wiele przyjemniej niż zatłoczoną autostradą.

- Ja też nie lubię autostrad - przyznała się Megan i uświadomiwszy sobie zbieżność własnych gustów z gustami profesora zarumieniła się lekko. - I nie najlepiej czuję się w wielkim mieście, wolę prowincję, przyrodę, ogrody, spacer...

- Świetna dzisiaj pogoda na długi spacer, słonecznie, ale nie za gorąco - stwierdził profesor i rzucił Megan z ukosa przelotne spojrzenie.

Uśmiechnął się, może nawet z lekka znacząco, lecz ona patrzyła akurat w bok i nie zwróciła na to uwagi.

Dojechali do Little Swanley dokładnie na wpół do jedenastej. Megan nie uprzedziła matki, że przywiezie ją do domu profesor van Belfeld, niemal do ostatniej chwili była jednak zdecydowana nie godzić się na wspólną podróż. Pani Rodner nie okazała jednak najmniejszego zaskoczenia na widok niespodziewanego gościa. Uściskawszy córkę, zwróciła się do niego z uprzejmym przywitaniem:

- Jakże mi miło znów pana u nas widzieć, panie profesorze. Tym razem to już musi pan zostać na kawę. Czy jest pan gotów poświęcić na ten cel trochę cennego czasu?

- Tak jest, pani Rodner. Z przyjemnością - uśmiechnął się van Belfeld.

- W takim razie serdecznie proszę zostać również na obiedzie. A po obiedzie proponuję spacer, nasza okolica jest naprawdę niebrzydka. Megan mogłaby pana oprowadzić. Takim wozem, jak pański, to chyba niedługo jedzie się stąd do Londynu, prawda?

Profesor znów zerknął z ukosa na Megan, która stała w milczeniu i bezruchu, najwyraźniej speszona nieoczekiwanym obrotem spraw.

- Tak jest, pani Rodner - odpowiedział na pytanie gospodyni. - Jeśli tylko wyjedziemy nie później niż o ósmej, córka na pewno zdąży się doskonale wyspać przed jutrzejszym dyżurem. Ale ja przecież zjawiłem się niespodziewanie, nie chciałbym nadużywać gościnności! Zamierzałem tylko podrzucić Megan, a później, wieczorem, znowu wpaść po nią do Little Swanley.

- Och, skądże znowu, na coś takiego nigdy nie pozwolę! Miałby pan spędzić więcej czasu za kierownicą tylko dlatego, żeby... Nie! Jeśli nie ma pan innych planów, serdecznie zapraszam do nas na cały dzień.

- Pięknie dziękuję, pani Rodner. A co na to Megan?

Megan, jak przystało na pannę z dobrego domu i o odpowiednich manierach, mimo zakłopotania stwierdziła z miejsca:

- Jestem pewna, że dzień spędzony na wsi dobrze panu zrobi, panie profesorze. Tak wiele pracuje pan za biurkiem i w laboratorium...

Całą trójką przeszli do salonu. Pani Rodner, z leciutkim uśmiechem na twarzy, skryła się na chwilę : w kuchni. Wróciła z kawą.

- Gdzie jest Melanie? - spytała ją Megan.

- Przecież dziś piątek, kochanie, jej kolej na porządkowanie w kościele. Niedługo powinna wrócić - odpowiedziała matka. - Ale, ale, czy ci mówiłam, że nasza mała Melly wybiera się w następny weekend na spotkanie z przyszłymi teściami?

Megan pobladła trochę, lecz odezwała się tonem całkowicie spokojnym, choć może z lekka zabarwionym rezygnacją:

- Mam nadzieję, że pani Fielding ją polubi...

Pani Rodner pokiwała w zamyśleniu głową i zmieniając temat zwróciła się do profesora:

- Lubi pan Anglię, panie profesorze? Tak świetnie mówi pan po angielsku. Po prostu zapomina się, że jest pan obcokrajowcem. Często jeździ pan do Holandii?

- O, tak. Jestem bardzo przywiązany do obydwu krajów, ciągle więc jeżdżę tam i z powrotem.

- W Holandii również zajmuje się pan medycyną?

- Owszem, jestem konsultantem w jednej z klinik, podobnie jak w Regent's.

- Musi pan być bardzo zapracowany - stwierdziła pani Rodner z westchnieniem, po czym spoglądając na córkę dodała: - Megan również jest bardzo zapracowana, za bardzo, jak mi się czasem wydaje. Przydałaby się jej chyba jakaś zmiana...

Megan omal nie zakrztusiła się kawą. Oto już druga osoba uważa, że powinna coś w swym życiu zmienić. Gdy znajdzie się trzecia, nie będzie innej rady, jak tylko dać się przekonać!

Pani Rodner dopiła kawę i uniosła się z krzesła.

- No cóż, moi kochani państwo, przepraszam was teraz i pójdę zakrzętać się wokół obiadu. Nie, Meg, nie potrzebuję pomocy w kuchni - zastrzegła. - Jeśli już chcesz koniecznie coś dla mnie zrobić, to przejdź się do sklepu pani Slocombe. Poproś o herbatniki, te, które ostatnio brałam. W drodze powrotnej możesz wstąpić do kościoła po Melanie. Oczywiście weź ze sobą pana profesora - dodała po krótkiej pauzie, zatrzymując się w drzwiach. - Pewnie chciałby zobaczyć naszą wieś, prawda?

- Mamo, nasz gość jest zmęczony. Może wolałby posiedzieć sobie spokojnie w ogrodzie? - rzuciła Megan, rumieniąc się po raz kolejny tego dnia.

Profesor przygryzł wargi, jakby starał się pohamować wybuch śmiechu.

- Siedziałem przez cały rano za kierownicą. Przechadzka byłaby z medycznego punktu widzenia na pewno znacznie bardziej wskazana - stwierdził, starając się o obojętny ton.

Przejście przez całą wieś zajęło mniej więcej dziesięć minut. Profesor rozglądał się z zaciekawieniem, podziwiał zieleń i malownicze domki, rozkoszował się czystym powietrzem. Gdy dotarli w okolice sklepu pani Slocombe, spełniającego zarazem rolę lokalnego urzędu pocztowego a

także... głównego plotkarskiego klubu w Little Swanley, Megan zaproponowała, żeby zaczekał na nią na zewnątrz. Nie zwrócił uwagi na jej słowa, zamyślony nie dosłyszał, a może tylko udał, że nie słyszy. Zamaszystym gestem otworzył przed Megan drzwi. Zabrzęczał staromodny dzwonek, głośno anonsujący zjawienie się każdego nowego klienta. Jak za pociągnięciem sznurka oczy wszystkich zgromadzonych wewnątrz niewiast zwróciły się w stronę wchodzących.

- Na urlopek do domciu, panno Megan? - odezwała się zza lady właścicielka, z miejsca przerywając ważenie suszonych śliwek dla żony ogrodnika ze dworu, którą właśnie obsługiwała.

- Och, nie, pani Slocombe, tylko na jeden dzień!

- Zawsze przyjemniej podróżować z kimś niż samotnie, prawda, złociutka?

- Pan profesor, z naszego szpitala, był tak miły i zgodził się mnie podwieźć.

- Nie ma to jak szarmancki mężczyzna - zauważyła sentencjonalnie pani Slocombe i wróciła do śliwek.

Wszystkie obecne w sklepie klientki uśmiechami i przychylnymi pomrukami potwierdziły słuszność jej słów. Po czym zaczęły przyglądać się profesorowi z niemal wcale już nie maskowaną natarczywością. On jednak, zachowując stoicki spokój, najwyraźniej nic sobie nie robił z ich wścibstwa.

- Pewnie się państwo spieszcie, to może zaraz obsłużę. Panie się zgodzą, prawda? - odezwała się pani Slocombe, skończywszy z suszonymi śliwkami dla żony ogrodnika.

Odpowiedziały jej uśmiechy i przychylny pomruki klientek. Przecież i tak żadna nie wyszłaby ze sklepu przed kolegialnym omówieniem ostatnich wydarzeń w rodzinie państwa Rodnerów, ze szczególnym uwzględnieniem tego

najświeższego, to jest przybycia Megan w towarzystwie profesora z Londynu.

Pani Slocombe ważyła herbatniki i wydawała resztę tak długo, jak tylko to było możliwe, stwarzając sobie i pozostałym niewiastom możliwość przeprowadzenia doprawdy szczegółowej lustracji. Nim Megan mogła jej podziękować i wydostać się z rejonu plotkarskiego ostrzału, była już z zakłopotania czerwona niczym piwonია.

- Przecież prosiłam, żeby pan zaczekał - syknęła z irytacją, gdy znaleźli się na zewnątrz. - W takiej małej miejscowości jak nasza wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą, a chcieliby wiedzieć jeszcze więcej. Z byle drobiazgu wysnuwa się całe historie...

- W naszej historii nie ma niczego zdrożnego, nie musimy się więc ukrywać - zauważył profesor łagodnym tonem, po czym wziął od Megan torbę z herbatnikami, podał jej ramię i poprowadził w stronę widocznego z daleka kościoła.

- Nie to miałam na myśli - westchnęła zmieszana. - Och, proszę się ze mnie nie śmiać! - dodała, słysząc jego filuterny chichot.

- Zgoda, Meg, ale w takim razie proszę nie psuć zrządzeniem cudownego jak dotąd dnia.

Dotarli w okolice kościoła. Kiedy weszli do wewnątrz, niemal dokładnie powtórzyła się sytuacja ze sklepu. Znów zwróciło się w ich stronę kilka par zaciekawionych oczu miejscowych dam. Nim Melanie zdążyła podejść i przywitać się, jedna z nich, żona pastora, uprzedziła ją mówiąc:

- Moja droga Megan, byłam po prostu wstrząśnięta, kiedy się dowiedziałam, co cię spotkało. Nie, nie, nie życzę źle naszej małej Melly, broń Boże! - dodała pospiesznie, widząc, jak Melanie odwraca głowę i stara się ukryć rumieniec wstydu. - Myślę, że nie ma tego złego, co by na dobre nie

wyszło - stwierdziła, zerknąwszy znacząco na profesora. - Mój mąż też tak uważa...

- Zabiorę już Melly na obiad, dobrze, pani Brewster? Do widzenia - rzuciła Megan, wzięła siostrę za rękę i czym prędzej wyszła z nią z domu modlitwy.

Profesor skłonił się i z uśmiechem podążył za nimi.

- Przepraszam, że pana nie przedstawiłam, ale... - zaczęła tłumaczyć się Megan.

- Ale nie wiedziała pani jako kogo, czy tak? A trzeba było na przykład... mhm... jako wujaszka. Albo jako kolegę ojca, jeszcze ze szkolnej ławy. Damy z Little Swanley nie miałyby najmniejszych podstaw do plotek!

- Za młodo pan wygląda. No, chociaż może... - odcięła się Megan.

- Coś ty, Meg! - wykrzyknęła prostodusznie Melanie. - Przecież pan profesor jest całkiem młodym mężczyzną. Prawda, panie profesorze?

- Powiedzmy dyplomatycznie, mężczyzną w kwiecie wieku - stwierdził z tetralną emfazą van Belfeld, ani na chwilę nie tracąc doskonałego humoru. - I bardzo pani dziękuję za przeoczenie mojej siwizny, Melanie.

Po tych słowach wszyscy troje, jak na komendę, wybuchnęli głośnym śmiechem. Chichotali prawie przez całą drogę do domu, w końcu jednak Melanie spoważniała.

- Wiesz, Meg, że wybieram się do rodziców Oscara?

- Tak, kochanie, już wiem, od mamy. Jedź i niczego się nie bój. Jestem pewna, że przypadniesz do gustu pani Fielding, a poczciwego pana Fieldinga to już bez trudu owiniesz sobie wokół małego paluszka.

- Och, Meg, cudowna z ciebie siostra! Tylko mi przykro, że tak jakoś wyglądasz... na zmęczoną...

Troszkę jesteś blada... Chyba przydałaby ci się jakaś zmiana. Czemu nie miałybyś rzucić tego starego szpitala, w

którym harujesz od świtu do nocy i nie poszukać sobie trochę mniej wyczerpującego zajęcia gdzieś indziej?

- No, nie! - Megan nie była w stanie ukryć irytacji. - Jesteś trzecią z kolei osobą, która próbuje mnie dzisiaj przekonać, że powinnam gruntownie przemeblować swoje życie, wyobrażasz to sobie? Najpierw profesor, potem mama, a teraz ty!

- Ja przecież nie wiem, Meg, tylko tak mi się zdawało...

Ewentualną dalszą dyskusję na drażliwy temat przerwała pani Rodner, która wyjrzała na próg domu.

- Macie herbatniki? - zapytała. - To świetnie. A jak widzi pan naszą wieś, profesorze?

- Moim zdaniem, jest to miejscowość nad wyraz ciekawa, pani Rodner - odparł van Belfeld. - Jej mieszkańcy również - dodał z lekko ironicznym uśmiechem.

- Rozumiem, rozumiem - pokiwała głową gospodyni. - Wszyscy się tu znamy, łatwo zauważyć każdego przybysza. A co dopiero takiego postawnego mężczyznę, jak pan!

Tym razem śmiechem wybuchnęli we czwórkę. Przeszli do domu, wkrótce zjawił się także pan Rodner. Do obiadu całe towarzystwo zasiadło w salonie. Posiłek był przepyszny, pani Rodner dała prawdziwy popis sztuki kulinarnej. Stek, pudding z cynaderek, ziemniaki puree, szpinak, na deser domowa szarlotka... Profesor był wprost zachwycony.

- Och, cieszę się, że panu smakuje, panie profesorze. Chociaż bynajmniej nie uważam się za doskonałą kucharkę. Jeśli chodzi o wypieki, Megan jest z całą pewnością ode mnie lepsza - stwierdziła z uśmiechem gospodyni. - Na przykład jej kruche ciasteczka...

Zawstydzona Megan przerwała matce głośnym protestem, zarumieniła się i pospiesznie wstała z miejsca, żeby posprzątać ze stołu. Podano kawę. Pan Rodner wypił ją dość

szybko. Przepraszając za pośpiech wyjaśnił, że musi jeszcze wracać do kancelarii, ale o piątej będzie z powrotem w domu.

- Zastanę jeszcze naszych miłych gości, prawda? - z takim pytaniem zwrócił się do profesora.

- Nie musimy wyruszać w drogę powrotną do Londynu wcześniej niż o ósmej, a ponieważ gościnnie pani domu zechciała nas zaprosić jeszcze na kolację...

- Znakomicie! Jeśli znajdzie się wolna chwilka, chciałbym panu pokazać kilka wspaniałych starych sztychów z widokami naszej miejscowości, jakie udało mi się kiedyś zdobyć w zupełnie przypadkowych okolicznościach. Tymczasem z żalem muszę państwa opuścić. No, Meg - lekko poklepał córkę po ramieniu

- myślę, że tego właśnie potrzebujesz, wsi, powietrza... W stolicy jakoś mi bledniesz, chudniesz. Praca w szpitalu za wiele cię kosztuje, chyba powinnaś coś zmienić...

Uchwyciwszy w tym momencie piorunujące spojrzenie małżonki, pan Rodner nagle przerwał swój wywód i wyszedł, rzucając jeszcze tylko od progu:

- No tak, muszę pędzić. Życzę wszystkim miłego popołudnia.

Faktycznie okazało się bardzo miłe. Megan oprowadziła profesora po trochę dalszej okolicy, co było o tyle przyjemniejsze od zwiedzania wsi, że absolutnie nikt poza biegnącym dla towarzystwa Janusem im się nie przyglądał. Potem był podwieczorek: herbata i pyszne ciasto.

- Oj, chyba powinienem się czymś odwdziaczyć za te wspaniałości! I zapracować sobie na kolację - zagadnął z humorem profesor. - Może znalazłby się jakiś kawałek ogrodu do przekopania?

Matka Megan wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę miałby pan chęć na taką gimnastykę? Proszę bardzo, Megan przyniesie szpadel i pokaże, gdzie warto by trochę poprzerzucać ziemię. Ale to ciężka robota, uprzedzam.

- Nie boję się. Przyda mi się odmiana po ciągłym siedzeniu za biurkiem albo nad mikroskopem. Megan, proszę pójść ze mną i podać mi jakieś narzędzie.

Profesor zdjął marynarkę i zaczął zawijać rękawy koszuli. Wyszli. Megan wyciągnęła z ogrodowej szopy na narzędzia solidną łopatę.

- Zabrudzi pan sobie spodnie - próbowała ostrzegać.

- Mam drugą parę od tego samego garnituru. Proszę nie marudzić, iść ze mną i podczas pracy zabawiać mnie rozmową.

- To może raczej będę w pobliżu wyrywała chwasty - zaproponowała Megan i włożyła parę ochronnych rękawic.

Pracowali aż do kolacji, spokojnie, bez pośpiechu, od czasu do czasu pogadując o tym i o owym. Po powrocie z kancelarii do pogawędki dołączył się pan Rodner. Przysiadł na starych drewnianych taczkach, zapalił fajkę i z zadowoleniem popatrywał, jak ktoś dobrowolnie wyręcza go w najcięższej ogrodowej robocie.

- To był naprawdę świetny relaks - stwierdził profesor, gdy pani Rodner poprosiła wszystkich na kolację i trzeba było przerwać. - Przydał się nam obojgu, prawda? - zerknął na Megan, która po pracy na świeżym powietrzu wcale nie była już taka blada, jak przedtem.

- Oj, chyba tak - uśmiechnęła się i pobiegła do swojej sypialni, żeby się trochę odświeżyć i ogarnąć.

Cichutko, na paluszkach, wsunęła się za nią Melanie.

- Ależ miły ten twój profesor - zachichotała.

- Ani nie mój, ani nie zawsze taki miły - odparła Megan, przeczesując potargane przez wiatr włosy

- W szpitalu całkiem mnie ignoruje, prawie, że nie zauważa. No i jest przecież żonaty.

- Czy to pewne? Bo jakoś mi nie wygląda na szacownego małżonka... Ojej, a jak ja wyglądam?

- Melanie zerknęła nagle w lusterko i zmieniła temat.

- Czy spodobam się rodzicom Oscara?

- Na pewno, kochanie, nie mam najmniejszych wątpliwości. Spodobasz się pani Fielding, bo jesteś zupełnie inna niż ja. I spodobasz się panu Fieldingowi bo polubi cię pani Fielding.

Obydwie roześmiały się i szybko zeszły na dół. Reszta towarzystwa zdążyła się już wygodnie rozlokować w salonie. Popijano najlepszą sherry z zapasów pana Rodnera. Profesor był w świetnym, swobodnym nastroju, czuł się jak u siebie w domu, a może jeszcze lepiej.

Podana przez panią Rodner kolacja była równie doskonała, jak obiad, choć skromniejsza pod względem doboru potraw: suflet z sera i ziemniaki w mundurkach. Bezpośrednio po posiłku Megan i profesor van Belfeld, niechętnie bo niechętnie, musieli się jednak pożegnać i ruszyć w drogę powrotną. Podczas jazdy odzywali się niewiele. Megan na wpół drzemała, profesor, skupiony na prowadzeniu wozu, tym razem szybką autostradą, nie starał się na siłę zabawić jej rozmową.

W spokojnym, rzec można błogim milczeniu dotarli aż na Meredith Street. Ciemnawa uliczka robiła wrażenie jeszcze bardziej ponurej i zaniedbanej niż zwykle. Dom również. Profesor pomógł Megan wysiąść, a potem swoim zwyczajem wziął od niej klucze i pierwszy wszedł do mieszkania, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zostawiając ją na chwilę samą w oświetlonym już pokoju, wrócił po Mereditha.

- Może napiłby się pan kawy lub herbaty? - spytała Megan, gdy zjawił się z koszykiem.

- Dziękuję, już późno, proszę od razu iść spać.

- W takim razie ja dziękuję za zawieszenie i przywiezienie, i w ogóle za wszystko, za cały ten dzień. Było cudownie...

- Ja również tak uważam. Dobranoc.

Przez kilka następnych dni Megan w ogóle nie widywała profesora. A kiedy w końcu zjawił się na oddziale, poproszony o jakąś konsultację przez doktora Brighta, rzucił w jej stronę tylko grzeczne, lecz pełne dystansu: „Dzień dobry, siostrze” i zajął się swoimi sprawami.

Oscara za to Megan napotykała ciągle. Jak na złość uparł się traktować ją niczym powierniczkę i niemalże już szwagierkę, w związku z czym za każdym razem szeroko referował jej swoje plany na wspólną z Melanie przyszłość. Megan wysłuchiwała tego wszystkiego spokojnie i nie kryła w sercu ani odrobiny zawiści. Niemniej jednak zwierzenia byłego narzeczonego na pewno nie ułatwiały jej powrotu do pełnej równowagi.

Coraz częściej zaczęła się zastanawiać nad pomysłem odejścia z Regent's i znalezienia sobie nowej pracy. Może faktycznie powinna? Przy okazji kolejnego przypadkowego spotkania Oscar opowiedział jej o spotkaniu Melanie z jego rodzicami.

- To był prawdziwy sukces! - - zakończył z emfazą. - A czemu ja nie jestem dla nikogo sukcesem? - poskarżyła się Megan wieczorem Meredithowi.

I w tym samym momencie usłyszała stukanie do drzwi. Czyżby wysłano po nią gońca ze szpitala? Chyba nie, łatwiej byłoby przecież zadzwonić. A może któraś z koleżanek miała akurat wolną chwilę i zdecydowała się wstąpić bez uprzedzenia? Megan otworzyła drzwi. Ku ogromnemu zaskoczeniu ujrzała przed sobą całkowicie zasłaniającą

wejście potężną sylwetkę mężczyzny. Był to profesor van Belfeld we własnej osobie.

- Ojej! - rzuciła Megan niezbyt dyplomatycznie w pierwszym odruchu, po czym dodała już całkowicie zgodnie z zasadami gościnności i dobrych manier:

- Dobry wieczór, panie profesorze, bardzo proszę...

- Chciałbym z panią porozmawiać, ale nie tutaj. Proszę jechać ze mną, przy okazji zjemy kolację - oznajmił tajemniczym, trochę jakby konspiratorskim tonem.

- A o czym mamy rozmawiać?

- Jak pani ze mną pojedzie, to się pani dowie.

- Ale przecież... - Megan nie bardzo wiedziała, jak dalej prowadzić tę dziwną rozmowę. - Przecież ja absolutnie nie jestem przygotowana do wyjścia.

Profesor obrzucił ją wzrokiem.

- Widzę, że wszystko jest dokładnie tak, jak powinno być. Proszę tylko narzucić jakiś żakiet - oznajmił dość apodyktycznym tonem. - Nie będziemy jechali daleko - dodał już nieco łagodniej.

- Ale przecież... No, dobrze, skoro pan nalega. Czyżby coś niezwykłego wydarzyło się w szpitalu?

- O szpitalu rozmawiałbym z panią w szpitalu. Chodźmy już! - zniecierpliwił się profesor.

Megan, rada nierada, narzuciła żakiet i służbowym niemal tonem zameldowała:

- Jestem gotowa, panie profesorze.

Wyszli, wsiedli do samochodu i ruszyli. Pojechali Meredith Street w stronę Mile End Road i dalej przez City ku Kings Road. Ostatecznie przez Putney Bridge dotarli na drugi brzeg Tamizy, do ekskluzywnej dzielnicy Richmond.

- Dlaczego mnie pan tu przywiózł? - zapytała Megan, gdy profesor zatrzymał wóz przed jednym z dużych, eleganckich

domów, wzniesionych tarasowato przy ulicy przeprowadzonej efektownie po nadrzecznej skarpie.

- Bo tu mieszkam - odpowiedział lakonicznie. Otworzył Megan drzwi samochodu. Nie wysiadła.

- Dlaczego mnie pan nie uprzedził? To jakiś sekret czy coś w tym rodzaju? - spytała z pewną dozą podejrzliwości i tłumionej irytacji.

- Bałem się, że jak uprzedzę, nie zechce pani przyjechać.

- Całkiem słusznie...

- A widzi pani? - uśmiechnął się szeroko. - Czy mogę prosić? Jestem bardzo głodny, mam nadzieję, że pani też.

Pomógł Megan wysiąść, podprowadził ją biegnącymi w górę skarpy schodami do samych drzwi domu, otworzył je. Weszli do obszernego westybulu. W tym samym niemal momencie, jak na zawołanie, otwarły się od wewnątrz inne drzwi, w których stanął niewysoki, grubawy, starszawy już dżentelmen, ubrany w ciemną gładką marynarkę i prążkowane spodnie.

- Dobry wieczór, panie profesorze, dobry wieczór pani - powitał przybyłych pełnym dostojeństwa głosem.

- To jest Thrumble - zaprezentował go profesor.

- On i jego żona dbają tu o mnie - wyjaśnił Megan.

- Thrumble - zwrócił się do oczekującego w milczeniu jegomościa - uprzedź panią Thrumble, że panna Rodner zostanie na kolacji. I zaopiekuj się z łaski swojej jej żakiem.

Megan spojrzała na profesora z ogromnym wyrzutem. Nie dość, że porwał ją z domu bez uprzedzenia, to jeszcze w starej dżersejowej spódnicy i znoszonej bawełnianej bluzce! A teraz bez skrupułów pozbawia ją jedynej elegantszej części garderoby, czyli żakietu.

Profesor całkowicie jednak zignorował to znaczące spojrzenie. Z galanterią podał Megan ramię i przeprowadził przez hol do pokoju, którego dwa ogromne okna wychodziły

wprost na rzekę. Widok był efektowny, umeblowanie wnętrza również: piękne antyczne sekretarzyki i gabloty, w rogu wspaniała szafkowy zegar, rozłożysta sofa z aksamitnym obiciem w śliwkowym kolorze, obok stolik z palisandru, inny, mahoniowy, pomiędzy oknami, obramowanymi przez fantazyjnie udrapowane zasłony ze śliwkowego brokatu. Wygodne fotele, przy nich trójnożne stoliczki ze stylowymi lampami...

- Nie mieszka pan tutaj, prawda? - odezwała się całkowicie zaszokowana Megan i z miejsca oblała się pąsem, uświadomiwszy sobie, że było to niezbyt mądre pytanie. - To znaczy chciałam powiedzieć, że chyba nie mieszka pan tutaj sam... - próbując się poprawić strzeliła kolejną gafę.

Profesor wskazał jej fotel przy kominku. Sam podszedł do paleniska, potrącił nogą polana, żeby podsyć płomień, a potem przykucnął i pogładził burego kota, który drzemał sobie w pobliżu ognia.

- Zupełnie sam, jeśli nie liczyć przemiłych państwa Thumble i ich tej oto równie sympatycznej kotki Tibby. Przed laty odziedziczyłem ten dom i teraz mieszkam w nim, kiedy jestem w Anglii. Jest dla mnie za duży, to prawda, ale temu nietrudno przecież zaradzić.

- No tak, oczywiście, wystarczy zamieszkać tu razem z żoną i dziećmi...

- Właśnie, z żoną i dziećmi, otóż to! Profesor usiadł w fotelu obok Megan.

- Chciał pan ze mną o czymś porozmawiać - przypomniała oschłym dosyć tonem.

- Owszem. Chciałem powiedzieć, że powinna pani wyjechać, wiadomo dlaczego, i że mógłbym pani w tym pomóc. Jestem w zarządzie pewnego sierocińca w Holandii, czterdzieścioro dzieci, chłopcy i dziewczynki w wieku od trzech miesięcy do dwunastu lat... Proszę cierpliwie

wysłuchać do końca! - Profesor nie dopuścił Megan do głosu, kiedy chciała mu przerwać. - Otóż jedna z tamtejszych pielęgniarek wybiera się za dwa tygodnie do Kanady odwiedzić rodzinę, nie będzie jej przez jakieś półtora miesiąca, potrzebne jest zastępstwo. Mogłaby pani je przyjąć, Megan. Byłaby okazja wyjazdu i czas na zastanowienie się, co zrobić ze sobą dalej.

- Ależ ja nie znam ani słowa po holendersku!

- Zajmowałyby się pani głównie niemowlętami, którym z pewnością nie będzie to przeszkadzać. A wszyscy pracownicy znają angielski na tyle, żeby się z panią porozumieć. Pensja byłaby trochę niższa niż w Regent's, ale tam naprawdę nie ma na co wydawać pieniędzy. Sierociniec znajduje się w niewielkiej wiosce, w pobliżu nadmorskiego miasta Castricum, na północ od Amsterdamu. Praca przez sześć dni w tygodniu, jeden dzień wolny... Proszę o tym pomyśleć, a ja tymczasem podam pani drinka. Sherry?

- - Poproszę... Ale ja przecież nie mogę się zdecydować tak w jednej chwili! Nie wiem... Tak bardzo mnie pan zaskoczył...

- Właśnie o to mi chodziło.

- A co miałabym robić, kiedy tamta dziewczyna już wróci z Kanady?

- Pożyjemy, zobaczymy... Otóż i Thrumble, co znaczy, że kolacja gotowa.

Wstali. Profesor przeprowadził Megan przez hol do innego, mniejszego pokoju, także z oknami wychodzącymi na Tamizę. Znajdował się tam okrągły mahoniowy stół na osiem osób i osiem mahoniowych krzeseł, a także ogromny mahoniowy kredens, zajmujący prawie całą ścianę. Ściany były obite jasnozielonym jedwabiem i ozdobione wieloma obrazami w stylowych, złożonych ramach. Aksamitne

zasłony, ciemnozielone, lamowane czerwienią, harmonizowały z kolorem obić i z czerwonym dywanem.

Megan i profesor zajęli miejsca za stołem, pani Thrumble podała kolację. Była wyśmienita zupa z wodnej rzeżuchy, sola z rusztu, deserowy pudding z gorącym sosem z wina, żółtek i cukru... Na koniec kawa, na którą przeszli znów do salonu kominkowego.

- Czy należy się pani jakiś urlop? - spytał profesor, wracając do tematu, którego podczas posiłku nie poruszali.

- Tak, trzy tygodnie.

- To znaczy, że pod koniec tego tygodnia mogłaby pani opuścić Regent's.

- A kto powiedział, że w ogóle tego chcę?

- Ja. Wiem, że pani chce - stwierdził zdecydowanym tonem profesor. - Wiem również, że boi się pani tej zmiany. Klasyczny dylemat: i chciałabym, i boję się - dorzucił ze śmiechem.

Megan również się roześmiała.

- Naprawdę pan uważa, że to dobry pomysł? - spytała z niedowierzaniem.

- Gdybym tak nie uważał, nie doradzałbym tego. No, ale ostateczną decyzję musi pani podjąć sama.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tej pracy...

- Doskonale rozumiem. Proszę nalać nam jeszcze kawy i pytać.

Profesor dokładnie objaśnił wszystko, co dotyczyło domu dziecka i potrafił rozwiązać wszelkie wątpliwości, jakie nasuwały się Megan. Była już prawie zdecydowana, kiedy uświadomiła sobie jeszcze jeden problem.

- Meredith! - wykrzyknęła.

- Może mógłby się tymczasowo przenieść do pani rodziców? Jeśli nie, służę mu gościnnie w tym domu. Tibby to

miła kociczka, byłaby na pewno bardzo zadowolona z towarzystwa, i wzajemnie, jak śmiem przewidywać.

- Czy musi pan mieć gotową odpowiedź na dokładnie każde pytanie? - odezwała się Megan, po trosze z rozbawieniem, a po trosze z irytacją.

- Staram się, jak mogę - uśmiechnął się profesor.

- Za dziesięć dni wyjeżdżam do Holandii, mogłaby pani zabrać się ze mną, jeśli pani zechce. Proszę jeszcze przespać się z całym tym problemem i ostatecznie odpowiedzieć mi jutro, dobrze?

Rozmawiali jeszcze przez pół godzinki o tym i o owym, siedząc wygodnie w fotelach i spoglądając na płonący w kominku ogień. Później profesor odwiózł Megan do domu. Gdy się żegnali, nieoczekiwanie pochylił się i... pocałował ją! Jakkolwiek dziwne mogłoby się to wydawać, właśnie w tym momencie podjęła ostatecznie decyzję odejścia z Regent's i wyjazdu do Holandii.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- To tylko na jakiś czas, kotku, potem wrócę i wezmę cię znów do siebie. I będę za tobą tęskniła... - jeszcze tego samego wieczoru tłumaczyła Megan Meredithowi.

Chyba zrozumiał, bo wcale się nie obraził, tylko zwinięty w kłębek zasnął na łóżku tuż obok niej.

Rano, już w szpitalu, Megan nie bardzo umiała się zdecydować, w jaki sposób przekazać profesorowi wiadomość. Zostawić karteczkę w portierni? Pobiec do laboratorium? Z kłopotu wybawił ją podczas obchodu doktor Bright.

- Siostró Rodner, proszę zadzwonić do profesora van Belfelda i zapytać, czy te ostatnie analizy są już gotowe, dobrze? W kartach jeszcze nie odnotowano wyników...

Zatelefonowała. Profesor odpowiedział krótko: wyniki analiz będą trochę później, osobiście przekaże je doktorowi Brightowi. I zaraz potem spytał:

- Zdecydowała się pani?

- No cóż, prawdę mówiąc... - nieoczekiwanie zaczęła się płątać Megan.

- Tak czy nie? Proszę. - Tak, ale...

- Wpadnę do pani dziś wieczorem, porozmawiamy, zgoda?

- Bardzo proszę.

- Zatem do wieczora, Meg - profesor odłożył słuchawkę.

Wieczorem zastukał do drzwi mieszkania Megan akurat w momencie, gdy robiła sobie małą przepierkę.

Szybko chwyciła ręcznik, żeby osuszyć mokre dłonie. Otworzyła.

- Nie uwierzyła pani, że przyjdę? - spytał profesor z lekkim zdziwieniem.

- Uwierzyłam, czemuż by nie, ale nie określił pan bliżej godziny, więc wzięłam się za domową robotę. Zrobiło się tymczasem trochę późno...

- Ja prosto ze szpitala...

- Proszę wejść dalej, usiąść. Może kawy?

- Bardzo chętnie, z przyjemnością.

Profesor zajął miejsce w fotelu. Megan podała kawę i herbatniki z bakaliami.

- O, bakaliowe, moje ulubione! - mruknął z zadowoleniem i zaczął się częstować tak ochoczo, że wkrótce herbatników już nie było.

- Może kanapkę? - zaproponowała Megan.

- Z miłą chęcią, nie zdążyłem zjeść dzisiaj obiadu. - A ja nie jadłam jeszcze kolacji. Podzielimy się,

jeżeli oczywiście nie spieszy się pan do domu na jakieś specjały pani Thrumble. Mam szynkę, mogę zrobić sałatkę i tosty z serem.

- Wracam jeszcze do Regent's, więc sprawa z panią Thrumble jest na razie całkowicie nieaktualna. Z przyjemnością skorzystam z pani zaproszenia, ale pod jednym warunkiem: proszę mi pozwolić pomóc sobie w kuchni. Zrobię sałatkę albo tosty, wybór należy do pani.

- Lubi pan kuchenne zajęcia? - spytała Megan, mając w pamięci pomoc profesora przy zmywaniu podczas pierwszej wizyty.

- Wedle mojej matki, prawdziwy mężczyzna powinien radzić sobie ze wszystkim. Już jako wyrostek przeszedłem odpowiednie przeszkolenie...

- Jeśli tak, deleguję pana do tostów. Sałatka, moim zdaniem, wymaga jednak kobiecej ręki.

W ciągu kilkunastu minut posiłek był gotowy. Poza szynką, sałatką i tostami na stole znalazło się jeszcze ciasto, które Megan upiekła wcześniej i przechowywała w

zamrażalniku, tonik, butelka piwa... Zgłodniały gość jadł z apetytem, gospodyni również. Rozmawiali luźno o tym i o owym, żadne jakoś nie decydowało się przejść do sprawy, która była głównym powodem odwiedzin profesora w mieszkanku przy Meredith Street. Dopiero po cieście i kawie Megan podjęła kłopotliwy temat.

- Powinnam odpowiedzieć ostatecznie, co zdecydowałam w związku z tą pracą...

- Ale nadal jest pani niezdecydowana - wszedł jej w słowo profesor. - Proszę się nie przejmować, to naturalny lęk przed zmianą. Przypuszczam, że w tej chwili ma pani chęć odrzucić propozycję i zostawić wszystko po staremu, prawda?

- Ja przecież niczego takiego nie powiedziałam, myślałam, że... wręcz przeciwnie... ale... Skąd pan wie? - Megan była wręcz zaszokowana znakomitą intuicją profesora.

- Patologia i psychologia nie są widocznie dziedzinami aż tak oddalonymi od siebie, jak mogłoby się wydawać, Meg - stwierdził van Belfeld z dobrodusznym uśmiechem. - Dla ułatwienia decyzji chciałbym pani zaproponować pewien psychologiczny eksperyment, taki mały test. Proszę powiedzieć Oscarowi, że zamierza pani odejść z Regent's i na jakiś czas wyjechać z kraju. I uważnie obserwować jego reakcję na tę wiadomość. Jeśli przyjmie ją z oznakami ulgi, będzie już pani wiedziała... No, muszę wracać do szpitala - profesor nagle przerwał i energicznie wstał z krzesła. - Jedzie pani na weekend do domu? Podrzucę panią w sobotę, a w niedzielę przywiozę, zgoda? Dziękuję za pyszną kolację, musimy jeszcze kiedyś coś takiego powtórzyć. Główka do góry, Meg, nasze sprawy mają to do siebie, że same zwykle układają się prościej, niż byśmy się spodziewali!

- Dziękuję za dobre chęci, ale tym razem wołałabym jechać sama - odezwała się Megan, nareszcie dopuszczona przez profesora do głosu.

- Tak, tak, będę w sobotę o wpół do dziewiątej. Proszę się przygotować do drogi - van Belfeld całkowicie zignorował jej słowa. - I proszę nie zapomnieć o przeprowadzeniu eksperymentu z udziałem Oscara - dodał, stojąc już przy drzwiach.

- Ja przecież wcale nie wiem, czy mam ochotę... - zaczęła Megan.

Nie dokończyła jednak tego zdania, bo profesor zniechceni przerwał je... pocałunkiem! Nie czekając, aż zaskoczona i oniemiała Megan ochłonie i odzyska mowę, wyszedł, po czym pomachał jej ręką i odjechał.

- Nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z facetem, który by mnie tak denerwował, kotku - poskarżyła się Meredithowi. - Całuje nieźle, trzeba mu to przyznać, ale poza tym jest po prostu nie do wytrzymania!

Następnego dnia, natknąwszy się na Oscara w drodze ze stołówki na oddział, Megan powiedziała mu o swoim zamiarze tymczasowego wyjazdu do Holandii. Zareagował na wiadomość gwałtownym wybuchem entuzjazmu.

- Meg, wspaniały pomysł, według mnie właśnie tego potrzebujesz! Zmiana otoczenia! Zerwanie z rutyną! Może poznasz interesujących ludzi, pozawierasz nowe przyjaźnie? A może nawet wyjdiesz tam za mąż, kto wie?

- Kto wie... - westchnęła z rezygnacją Megan.

Poczuła się... Właściwie jak? Najlepiej chyba byłoby powiedzieć: zdruzgotana. Miała wrażenie, że wszyscy chcą się jej pozbyć, czekają z utęsknieniem, by zniknęła im z oczu. Wszyscy, dokładnie wszyscy, zupełnie jakby się zmówili! Megan postanowiła porozmawiać jeszcze poważnie z matką i ojcem, poprosić rodziców o radę. Chociaż właściwie mogła przewidzieć z góry, co jej odpowiedzą: że jest już wystarczająco „dużą i mądrą dziewczynką”, by samo - dzielnie podjąć decyzję we własnej sprawie.

Wróciła do domu w fatalnym nastroju, zła na cały świat, a zwłaszcza na profesora, w którym widziała sprawcę całego tego zamieszania w swoim życiu. Spodziewała się, że podczas jazdy będzie ją namawiał na wyjazd i już na zapas dodatkowo się irytowała z tego powodu. Rozdrażniona zasnęła. I, o dziwo, spała wyjątkowo mocno i dobrze przez całą noc.

Obudziła się w pogodny sobotni poranek w o wiele lepszym humorze. Spakowała drobiazgi. Starannie dobrała garderobę na wyjazd, decydując się na nowiutki komplet z bawełnianej dzianiny: złocistożółta góra i suta, długa spódnica, złoto - czekoladowa z lekkim perłowym akcentem. Do tego, na ewentualność niepogody, brązowy żakiet.

Profesor zjawił się oczywiście punktualnie. Na temat wyglądu Megan nie powiedział nic, jednak rzucił w jej stronę takie spojrzenie, że... musiała przyznać się sama przed sobą do jeszcze większej poprawy nastroju! A także do tego, że nawet trochę lubi profesora van Belfelda. Właściwie za co? Głównie chyba za dar zjawiania się dokładnie tam, gdzie jest akurat potrzebny. We właściwym miejscu i właściwym czasie. Z właściwą radą? Czy tylko z chęcią narzucania innym własnej woli? Kto wie...

W Little Swanley profesor zatrzymał się na pół godzinki, by porozmawiać i wypić kawę. Potem pożegnał się, obiecując przyjechać po Megan w niedzielę, około ósmej wieczorem.

- Naprawdę musi nas pan tak szybko opuszczać, panie profesorze? - spytała pani Rodner.

- Niestety tak, podczas tego weekendu mam umówionych kilka ważnych spotkań w Londynie.

- Jaka szkoda! - westchnęła gościnnie gospodyni. Jej starsza córka nie powiedziała nic, lecz ku własnemu zdziwieniu pomyślała to samo!

Rozmowę z rodzicami na temat wyjazdu Megan odłożyła do wieczora. Wysłuchali wszystkiego bardzo uważnie, w skupieniu. W końcu ojciec zapytał:

- Kochanie, chcesz, żebyśmy ci doradzili, czy już podjęłaś decyzję?

- Najpierw powiedziałam „tak”, potem straciłam pewność... To byłyby nie więcej niż dwa miesiące, sama nie wiem...

- Moim zdaniem to dobry pomysł - odezwała się matka. - Jak wrócisz, z pewnością znajdziesz sobie nową posadę, poza Regent's jest przecież w Anglii mnóstwo innych szpitali. A zresztą, czy gdybyś miała spędzić tu z nami tydzień, dwa lub nawet więcej, zanim sobie czegoś poszukasz, to stanie się coś złego? Przecież Melly... O, właśnie, a może jeszcze z nią chciałabyś na ten temat porozmawiać? Wróci dopiero jutro, jest na farmie Howellów, Susan Howell ma być jedną z jej druchen.

- Porozmawiać z Melanie? Nie, mamo, nie będę zawracała jej głowy, ma teraz wystarczająco dużo spraw do załatwienia i przemyślenia. W związku ze ślubem - dodała Megan po krótkiej pauzie i leciutko westchnęła. - Powiedziałam Oscarowi o moim wyjeździe, uznał, że to świetne wyjście. A co ty myślisz, tato? - zwróciła się bezpośrednio do ojca.

- Powiedz mi, Meg, dlaczego najpierw się zgodziłaś, a potem zaczęłaś się wahać?

- Poczulałam się... czy ja wiem... zmuszona przez profesora... Miałam wrażenie, że coś mi narzucił. Właściwie trudno to określić...

- To bardzo typowa reakcja, kochanie - stwierdził łagodnym tonem pan Rodner. - Zmiany zawsze nas w pierwszym odruchu kuszą, a potem zniechęcają czy nawet przerażają. Trzeba cierpliwie odczekać jakiś czas, rozważyć

wszystko spokojnie, bez emocji. Co teraz myślisz o tej Holandii?

- Mam chęć spróbować. Powiem o tym jutro profesorowi, jak po mnie przyjedzie - uśmiechnęła się Megan.

- Zuch dziewczyna z ciebie!

- A kiedy miałybyś jechać? I co z ciuchami? Masz wszystko, co ci będzie potrzebne? - wtrąciła się matka, zdając sobie doskonale sprawę, że babska rozmowa o ciuchach koi niekiedy stargane nerwy równie skutecznie, jak filiżanka herbaty, a może nawet lepiej.

- Ten dom dziecka mieści się w małej nadmorskiej wiosce, nie będzie więc chyba żadnych okazji do noszenia czegoś ekstra.

- Ciekawe, czy będziesz musiała chodzić w uniformie? Jeśli profesor jest w zarządzie, to pewnie wie, może go jutro zapytamy? A czy on często tam bywa?

- Nie sądzę. Taki zarząd zbiera się pewnie kilka razy w roku i to wszystko. Na więcej profesor nie miałby czasu; wspominał, że w Holandii też ma stanowisko konsultanta, nie mówił tylko dokładnie, gdzie. Może prowadzi też prywatną praktykę? To bardzo zapracowany człowiek.

W niedzielę wieczorem profesor zjawił się punktualnie, wypił w saloniku herbatę, odpowiedział zaciekawionej pani Rodner na kilka pytań. Czekano na Megan. Pojechała samochodem ojca po Melanie na oddaloną o parę mil farmę Howellów, myślała, że zdąży wrócić na czas, zeszło jednak trochę dłużej, bo Howellowie, od dawna zaprzyjaźniona z Rodnerami rodzina, tyle chcieli się dowiedzieć i sami mieli tyle do opowiedzenia...

- Już jest! - szepnęła zdenerwowana Megan do młodszej siostry, gdy spóźnione wpadły do domu.

Profesor z uśmiechem skinął im głową i powrócił do konwersacji z rodzicami. Uff, co za ulga... Megan pomyślała,

że chyba nie zdenerwował się zbyt, skoro jest w stanie tak spokojnie dyskutować o mszycach i sposobach ich skutecznego zwalczania.

Po chwili nastąpiło pożegnanie. Przez całą drogę z Little Swanley do Londynu rozmawiali o najrozmaitszych sprawach, tylko nie o holenderskim sierocińcu. Dopiero gdy samochód zatrzymał się na Meredith Street, Megan oświadczyła bez niepotrzebnych wstępów:

- Panie profesorze, jadę! Wszyscy są zdania, że to dobry pomysł.

- Pani też, Meg?

- Tak. I przepraszam za niezdecydowanie.

- Nie ma za co. To naturalne. Proszę mi teraz pozwolić porozmawiać z siostrą przełożoną, zanim sama się pani do niej zgłosi, dobrze? Nie chcę, żeby panią za bardzo męczyła pytaniami. Już starczy tych rozterek i kłopotliwych sytuacji. Rozumiemy się?

Megan skinęła głową. Wyszli. Profesor otworzył drzwi, zapalił światło, sprawdził, czy nic złego się nie dzieje w mieszkaniu i szybko się pożegnał. Po jego odjeździe Megan wybuchnęła płaczem. Chociaż zupełnie nie rozumiała, dlaczego!

Następnego dnia, nim sama zdążyła się zgłosić, została wezwana przez przełożoną. Rozmowa była krótka i sympatyczna.

- Moja droga, zmiana to zawsze coś pozytywnego, nowe obserwacje, poszerzenie zakresu doświadczeń. Proszę jechać, a po powrocie niezwłocznie skontaktować się ze mną. Swoją pracą w Regent's zasłużyła pani na świetne referencje, napiszę je z przyjemnością. - Ton głosu przełożonej, damy z natury surowej i kostycznej, był nad wyraz przyjazny, niemal serdeczny.

Wstała zza biurka, wyciągnęła do Megan rękę na pożegnanie. I już było po kłopotach, po wszystkim! Megan wybiegła z gabinetu szefowej odprężona i uradowana. Miała pozostać w Regent's jeszcze tylko do końca tygodnia, potem czekało ją coś zupełnie nowego...

Wróciła na oddział i znalazła na swym biurku wiadomość od profesora, prośbę o telefon. Zadzwoiła.

- Van Belfeld, słucham...

- To ja, Megan Rodner.

- Wspaniale! Odwiedzę panią wieczorem, około siódmej. Proszę nie szykować kolacji, przywiozę wszystko ze sobą. Zjemy i porozmawiamy, dobrze?

Wieczorem zjawił się punktualnie, zgodnie z zapowiedzią. Ulokował na stole dużą plastikową torbę z wiktuałami, wrócił na chwilę do samochodu i przyniósł jeszcze kartonowe pudło.

- W kartonie ukryłem butelki, żeby nie bulwersować pani sąsiadów - wyjaśnił z figlarnym uśmiechem. - Trzeba je wstawić do lodówki.

- Proszę usiąść, zaraz się wszystkim zajmę - odezwała się Megan.

Wyjęła butelki z pudła i wstawiła je do schłodzenia. Zajrzała do torby.

- Mój Boże, toż to prawdziwy róg...

- Obfitości? - dopowiedział profesor. - Cóż, prosiłem panią Thumble, żeby przygotowała małe co nieco dla dwu zgłodniałych osób!

Małe co nieco pani Thumble składało się z ziemniaczano - cebulowego chłodnika vichyssoise, pasztecików z wieprzowiną, kurczaka w galarecie, jajek na twardo, sałatki jarzynowej i sałatki z pomidorów, bułeczek, masła oraz szarlotki z kremem na deser. Gdy Megan wypakowała z torby wszystkie słoiczki i pojemniczki, w imponujący sposób zastawiła nimi cały kuchenny stół.

- Kiedy podać tę wspaniałą kolację? - zapytała. - Jak tylko zdąży pani wypowiedzieć zaklęcie:

„Stoliczku, nakryj się”. Proponuję, żebyśmy zaczęli od drinka.

Profesor wszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę.

- Musimy uczcić tę pani nową pracę w nowym kraju. - To mówiąc, wprawnie odkorkował szampana i napełnił dwie podsunięte przez Megan szklaneczki.

Wypili drinka na stojąco, a w parę minut później zasiedli w pokoju do stołu.

- Przełożona zachowała się sympatycznie? - spytał w którymś momencie profesor.

- O, tak! Nigdy chyba nie była dla mnie miłsza niż dziś. Co takiego jej pan powiedział? Czyżby jakieś zaklęcie?

- Bez przesady, jestem patologiem, a nie czarnoksiężnikiem - roześmiał się van Belfeld. - Powiedziałem po prostu, że zależy mi na szybkim załatwieniu.

- Spodziewałam się, że moje odejście z Regent's będzie trudniejsze do przeprowadzenia...

- Jak widać, nie warto martwić się na zapas - rzekł sentencjonalnie profesor, nie wspominając, jak wiele zachodu kosztowało go przekonanie nie tylko przełożonej, ale i dyrekcji szpitala, by nie stwarzano siostrze Rodner utrudnień.

Po posiłku profesor pomógł w zmywaniu, spakował do torby puste już słoiczki i pojemniczki pani Thumble, pożegnał się i odjechał. Megan zaczęła przygotowywać się do snu. Rozmyślała o wydarzeniach ostatnich tygodni i minionego dnia, o wszystkim, co już ją spotkało i co mogło ją spotkać w najbliższym czasie. Profesor van Belfeld... Tak jakoś niespodziewanie wszedł w jej życie, w krótkim czasie z obcego, z trudem niekiedy tolerowanego człowieka stał się... Przyjacielem? A może kimś więcej?

Ponieważ następnego dnia Megan miała dyżur dopiero od dziesiątej, rano zadzwoniła do matki.

- Mamo, wszystko już załatwione, profesor zabiera mnie do Holandii - oświadczyła uroczyście.

- Zadowolona?

- Tak. Czuję ogromną ulgę.

- No to i ja się cieszę. Profesor pewnie stęsknił się za Holandią i rodziną...

Megan przytaknęła, porozmawiała z matką jeszcze przez chwilę, pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Przypadkowa uwaga pani Rodner dała jej wiele do myślenia. W zasadzie nie powinna sobie pozwolić na bliższą zażyłość z człowiekiem, który tu, w Anglii, jest, jeśli nie liczyć małżonków Thrumble, całkowicie samotny, lecz gdzieś ma przecież żonę i dzieci. Nie powinna pozwolić sobie ani jemu na przejście bodaj o pół kroku poza granicę tego, co można nazwać bezinteresowną przyjaźnią. Doszła do wniosku, że skoro tylko znajdzie się już w Holandii, musi podziękować profesorowi za pomoc i zerwać znajomość, nim sprawy zajdą zbyt daleko. Tak sobie postanowiła, kategorycznie, chociaż z ciężkim sercem.

Podczas dyżuru Megan poinformowała o swoim odejściu Jenny Morgan.

- A kto przyjdzie na twoje miejsce? - Zarekomendowałam cię. Z pewnością sobie poradzisz. Chyba że nie chcesz?

- Chcę, ale wolałabym, żebyśmy były dalej razem. Będzie mi cię brakowało, Meg.

- Mnie cię też, i innych dziewczyn, i oddziału. Ale wiesz...

- Wiem, wiem - Jenny ze zrozumieniem pokiwała głową.
- Swoją drogą ciekawa jestem, dlaczego ten van Belfeld... Czyżby w Holandii nie było pielęgniarek? A może on...
Przepraszam, Meg - przerwała spekulacje, spostrzegłszy w

oczach przyjaciółki błysk zniecierpliwienia. - Chyba się zagalopowałam.

- Oj, Jenny, Jenny... Przecież dobrze wiesz, z jakiego powodu odchodzę z Regent's i wyjeżdżam. Nie chcę dłużej komplikować życia mojej siostrze, Oscarowi, no i sobie - stwierdziła spokojnym, lecz zdecydowanym tonem Megan.

Ostatni tydzień w Regent's mijał pracowicie, ale bardzo szybko. Zwłaszcza że w środę wypadał Megan wolny dzień, na który zaplanowała sobie wyjazd do domu po rzeczy.

- Podobno w Holandii bywa chłodno i często pada, nie zapomniałaś wziąć czegoś cieplejszego? - interesowała się matka podczas pakowania walizek.

- Wrócisz z tej Holandii na Boże Narodzenie, Meg; prawda? - dopytywała się Melanie.

- Nie zapomniałam, wrócę - odpowiedziała Megan z uśmiechem na dwa pytania naraz, a sama zadała trzecie: - Czy myślicie, że jakaś jedna elegancka kiecka może mi się tam przydać?

- No jasne! - stwierdziła z głębokim przekonaniem Melanie. - Na pewno poznasz jakichś interesujących ludzi, ktoś cię dokądś zaprosi, i tak dalej... Powinnaś być przygotowana. Oscar mówi, że może nawet... Nieważne! Jak myślisz, Meg, często będziesz miała okazję widywać profesora van Belfelda?

- Nie sądzę. Nawet nie wiem, gdzie mieszka w Holandii. Zresztą będzie przecież zajęty żoną i dziećmi.

- Wiesz, Meg - Melanie w zadumie zmarszczyła czoło - on mi jednak jakoś nie wygląda na żonatego mężczyznę ani na ojca rodziny...

Nadszedł moment ostatecznego pożegnania. Poprzedniego wieczoru przyjaciółki wyprawiły na cześć Megan uroczyste przyjęcie w pielęgniarstwie hotelu, obdarowały ją mnóstwem

prezentów, było głośno i wesoło. A teraz, w szpitalnej ciszy, dawało się słyszeć tylko pochlipywanie Jenny Morgan.

- Jenny, jak tylko wrócę, zaraz cię odwiedzę, sprawdzę, czy sobie radzisz. A wcześniej napiszę. I przyślę ci pocztówkę z wiatrakami. - Megan starała się o żartobliwy ton, lecz czuła, że również wilgotnieją jej oczy.

Już miała wychodzić do domu, gdy zadzwonił telefon. Proszono ją o zgłoszenie się do laboratorium patologicznego. Czyżby zaszła jakaś zmiana? - myślała idąc korytarzem. Może profesor zrezygnował z wyjazdu? A może ten holenderski dom dziecka nie potrzebuje już pielęgniarki? Niepewnie zastukała do drzwi gabinetu. Usłyszawszy charakterystyczne „Tak?“, weszła do środka. Profesor siedział za biurkiem i pisał, tym razem jednak na widok Megan przerwał pracę i wstał.

- Proszę wybaczyć, że panią tu fatygowałem, Meg, ale muszę skończyć przed wyjazdem parę raportów i czas mnie bardzo goni. Chciałbym jutro podrzucić jeszcze panią do domu, nim opuścimy Anglię. Proszę się przygotować na ósmą rano, razem z Meredithem, ma się rozumieć.

- Bardzo panu dziękuję, ale...

- Naprawdę czas strasznie mnie nagli, Megan, nie chciałbym go marnować na niepotrzebne dyskusje. Pojedziemy do Little Swanley i to wszystko. Reszta zgodnie z wcześniejszym planem.

- Rozumiem, panie profesorze. Będę gotowa. Dobranoc - powiedziała i cichutko wyszła.

Z domu zadzwoniła do matki z wiadomością, że zjawi się z Meredithem nazajutrz rano, w towarzystwie profesora.

- Dalej, kotku, niestety nie będziesz mógł ze mną pojechać. Będzie mi cię bardzo brakowało - poinformowała zwierzaka z niekłamanym żalem i na pocieszenie uraczyła go porcją sardynek.

Sama również zjadła kolację i poszła do gospodarza, żeby się ostatecznie rozliczyć... Po powrocie nastawiła budzik na szóstą i natychmiast zasnęła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia rano, gdy, jak zwykle dokładnie o zapowiedzianej porze, zjawił się profesor, Megan była od dawna gotowa. Nie minęło zatem więcej niż pięć minut, a już szary rolls - royce ruszył sprzed domu przy Meredith Street w Londynie w drogę do Little Swanley.

- Mam nadzieję, że kot będzie się dobrze czuł u rodziców, zawsze raczej lubił tam jeździć - stwierdziła z lekkim westchnieniem Megan, zerkając na tylne siedzenie, gdzie był ulokowany jej czworonożny przyjaciel.

- Na pewno. Lecz gdyby coś było nie tak, zawsze jeszcze będę mógł go stamtąd zabrać do pani Thumble, proszę się nie martwić.

Profesor starał się uspokoić Megan, jednak jego słowa wywołały wprost przeciwny skutek.

- To nie pozostanie pan dłużej w Holandii? - zapytała z wyraźnym niepokojem.

- Owszem, trochę zostanę, będę egzaminował i prowadził wykłady. Od czasu do czasu muszę jednak wracać do Londynu, jak zawsze - wyjaśnił dość obojętnym tonem.

W Little Swanley oczekiwała ich cała rodzina Rodnerów, wszyscy chcieli pożegnać Megan przed jej podróżą do Holandii. Pani Rodner podała kawę i kanapki. Profesor wdał się w typowo męską rozmowę z panem Rodnerem na temat silnika rollsa. W którymś momencie zaproponował wspólne zerknięcie pod maskę w celu praktycznej prezentacji.

Przeprosili panie i wyszli przed dom. Colin pobiegł za nimi.

- Och, Megan, świetny jest ten twój profesor, słowo daję!
- stwierdziła z promiennym uśmiechem Melanie. - No, wiem, wiem, nie twój, ale świetny i samochód też ma cudowny. Bardzo jesteś podekscytowana?

- Chyba tak. Nowa praca to zawsze nowa praca. A do tego nowy kraj!

- Czy profesor zostanie w Holandii? - wtrąciła się pani Rodner.

- Przez jakiś czas tak. Będzie prowadził wykłady, ale nie wiem gdzie. Zresztą i tak nie zamierzam się z nim spotykać. Jestem wdzięczna za pomoc i to wszystko.

Pani Rodner w zamyśleniu pokiwała głową. Wszystko? Niekoniecznie! Jakoś nie mogła uwierzyć, by profesor zadawał sobie tyle trudu wyłącznie z chęci służenia pomocą pielęgniarce ze swego szpitala, która znalazła się w życiowych tarapatach. Nie była w stanie pozbyć się wrażenia, że kryje się za tym coś więcej, jakieś szczególne osobiste zainteresowanie... Niestety, najwyraźniej jednostronne. Megan była wdzięczna, lecz wydawała się traktować profesora z całkowitą obojętnością. Choć może to i lepiej? Może on rzeczywiście ma tam w Holandii żonę i dzieci? Pani Rodner biła się z myślami, nie chcąc jednak dodatkowo denerwować Megan przed podróżą, niczego nie dała po sobie poznać. Powiedziała tylko:

- Uważaj na siebie w tej Holandii, kochanie, dzwoń, kiedy będziesz mogła, i pisz długie listy, skoro tylko znajdziesz czas. O twego kocurka zatroszczymy się z Melly jak należy, nic się nie martw, nie będzie narzekał.

Wrócili mężczyźni, profesor zerknął na zegarek, dał znak, że pora już się żegnać, Megan uściskała po kolei wszystkich łącznie z Janusem i Meredithem.

Zajęła miejsce w samochodzie. Gdy spojrzała na gromadkę najbliższych, którzy wyszli przed dom, by im pomachać, poczuła, że wilgotnieją jej oczy.

- Nie martw się, Meg, wrócimy - odezwał się profesor dziwnie ciepłym, łagodnym tonem i uruchomił silnik.

Mieli przed sobą ponad dwieście kilometrów do Dover. Jadąc prawie cały czas autostradą, pokonali ten etap podróży wystarczająco szybko, by spokojnie zaokrętować się na prom. Podczas rejsu Megan zajęła się studiowaniem otrzymanego od profesora przewodnika po Holandii. Był bardzo dokładny, zawierał informacje o wszystkich chyba holenderskich miejscowościach, również tak niewielkich, jak siedziba sierocińca. Wyczytała, że jest to wioska składająca się z kilkunastu zaledwie zabudowań, z kościołem i sklepem, który pełni również rolę urzędu pocztowego, usytuowana niedaleko od plaży, wśród wydm i niewielkich lasków. Z pobliskim Castricum łączy ją komunikacja autobusowa.

- Czy te autobusy do Castricum kursują regularnie? - spytała profesora, pogrążonego w jakichś swoich notatkach.

- Tak, ale poza letnim sezonem dość rzadko. Umie pani jeździć na rowerze?

- Ja? Umiem... - Megan była cokolwiek zaskoczona pytaniem.

- Holendrzy to naród zamiłowanych rowerzystów, myślę, że i dla pani znajdzie się jakiś dwukołowy wehikuł, więc z dojazdem do Castricum czy nawet trochę odleglejszego Heemskerk nie powinno być absolutnie żadnych kłopotów - wyjaśnił profesor z uśmiechem.

Najdłuższym do pokonania etapem była jazda samochodem z francuskiego Calais, dokąd dopływał prom, poprzez Gandawę i Antwerpię w Belgii do Rotterdamu, a stamtąd przez Lejdę i Hemestede na północ, w kierunku Castricum. Mimo że profesor prowadził wóz z dużą prędkością, dochodził już wieczór, a celu podróży wciąż jeszcze nie było widać. W pewnym momencie zjechał z autostrady w wąską boczną drogę. W kierunku morza i wsi, pomyślała bardzo już zmęczona i głodna Megan, nie zdążwszy spojrzeć na tablicę z nazwą miejscowości.

Faktycznie, w półmroku zarysowały się jakieś wiejskie zabudowania. Był też kościół z wieżą, jasno oświetlony sklep, a nawet dwa. Opisywanych w przewodniku lasków i wydm wprawdzie brakowało, ale Megan doszła do wniosku, że widocznie rozpościerają się dalej od drogi i po prostu nie widać ich po ciemku. Zaczęła z przejęciem wypatrywać siedziby sierocińca. Minęli wieś i przez otwartą bramę wjechali na rozległy ogrodzony teren. Po chwili profesor zatrzymał samochód przed okazałym budynkiem, właściwie pałacem o białych ścianach, wielu dużych oknach z zielonymi okiennicami i potężnych odrzwiach, ku którym prowadziły szerokie schody z ozdobnie kutymi poręczami.

- Wielkie nieba, ależ piękny ten sierociniec! - wykrzyknęła Megan, kiedy wysiadła i rozejrzała się dookoła.

Profesor uśmiechnął się pół figlarnie, pół tajemniczo.

- To nie jest sierociniec, Meg - wyjaśnił. - To mój dom. Jest już za późno, żeby jechać dalej. Tu zjemy kolację i zanocujemy. A jutro rano zawiozę panią na miejsce.

Podał jej ramię i poprowadził w kierunku wejścia. Po kilku krokach Megan nagle się jednak zatrzymała. Zapytała:

- Czy pańska żona spodziewa się mojego przybycia? Może wolałaby, żeby nikt obcy nie niepokoił państwa i dzieci o tak późnej porze?

Profesor przystanął również.

- Zanim wejdziemy do środka, wyjaśnijmy sobie jedną rzecz - odezwał się dość zasadniczym tonem, w skupieniu patrząc jej prosto w oczy. - Ja nie mam żony, Meg, ani nie mam dzieci.

- Ale przecież...

- Czy kiedykolwiek przedstawiłem się jako mąż i ojciec? Proszę sobie dokładnie przypomnieć. To tylko wyobraźnia podpowiedziała pani...

- Nigdy nie byłam aż tak bardzo zainteresowana pańskim prywatnym życiem, żeby sobie cokolwiek wyobrażać - z tłumioną irytacją przerwała mu Megan. - Po prostu sądziłam... Ale skoro nie jest pan żonaty, to tym bardziej nie zatrzymam się u pana na noc!

- Moje drogie dziecko - profesor robił wrażenie mocno rozbawionego. - Proszę tylko rozsądnie pomyśleć: czy ja wyglądam na snującego podejrzaną intrygi donżuana? Może pani bez obaw przekroczyć progi tego domu. Oczekuje nas moja babka, zamężna gospodyni, dwie pokojówki, no i jeszcze ktoś, o, proszę, a oto i on, sympatyczny pan Litman.

Megan zerknęła na drzwi. Stał w nich starszawy, chudy, z lekka przygarbiony jegomość. Profesor podprowadził ją do niego po schodach, jegomość uśmiechnął się i uklonił, po czym odezwał się chropawą trochę angielszczyzną:

- Najuprzejmiej panią witam w naszym domu. Megan podała mu rękę. Po chwili w towarzystwie profesora weszła do środka.

- Zaczekam tutaj - odezwał się van Belfeld - a jedna z naszych dziewcząt, Stookje, pokaże pani, gdzie można się trochę odświeżyć. Potem pójdziemy przywitać się z babcią.

Oczekująca już pokojówka zaprowadziła ją w głąb holu i wskazała drzwi do toalety. Megan kiedy tam weszła, spojrzała uważnie w lustro, szybko poprawiła fryzurę i przypudrowała trochę nos. Trochę zakłopotana koniecznością nieoczekiwanego zaprezentowania się starszej damie wróciła do profesora. Weszli razem do obszernego, pięknego pomieszczenia z sufitem zdobionym misterną sztukaterią, ścianami w morelowym kolorze i tej samej barwy zasłonami z ciężkiego jedwabiu, stanowiącymi obramowanie dla wysokich okien. W wyposażeniu wnętrza dominował ogromny kominek. Po obydwu jego stronach stały półokrągłe gabloty,

wypełnione słynną holenderską porcelaną z Delft. Całości dopełniały dwie rozłożyste sofy i kilka wygodnych foteli.

W jednym z nich siedziała siwowłosa dama w mocno podeszłym wieku, w bladozielonej sukni, z rudym kotem na kolanach. Asystowały jej dwa psy, labrador i chart, które na widok wchodzących zaczęły radośnie szczekać i machać na powitanie ogonami. Profesor półgłosem poinformował Megan, że dwie sympatyczne bestie to Rosie i Swift, a następnie podprowadził ją do fotela i przedstawił starszej damie.

- Jestem doprawdy zachwycona, że możemy się spotkać, choćby na tak krótko, moje dziecko - odezwała się seniorka rodu van Belfeldów nienaganną angielszczyzną i wyciągnęła do Megan ozdobioną kilkoma brylantami dłoń. - Posil się teraz spokojnie, a potem zajrzyj jeszcze, jeśli można cię o to prosić, do mojego pokoju na górze, to sobie trochę pogawędzimy, zgoda?

- Oczywiście, pani van Belfeld, z miłą chęcią - odpowiedziała Megan, ujmując delikatnie drobną, kruchą dłoń staruszki.

- Idziemy na kolację, babciu. Przyprowadzę ci Megan mniej więcej za godzinę - wtrącił się profesor.

Posiłek podano w niewielkim, wykładanym boazerią pokoju z wejściem z głębi holu. Okrągły, nakryty białym adamaszkowym obrusem stół przyciągał wzrok srebrem, szkłem i delikatną porcelaną. Megan i profesor zasiedli naprzeciwko siebie. Rozpoczęli od wykwintnej zupy ze szparagów. Następnie był wędzony łosoś z sałatką, a na deser doskonały likier i kawa.

Bezpośrednio po kolacji profesor zaprowadził Megan na górę. Zastukał w drzwi i po chwili weszli do obszernego pokoju, wypełnionego ciężkimi biedermeierowskimi meblami. Starsza pani van Belfeld siedziała w wielkim łóżu, wsparta na poduszkach, z książką w dłoniach.

- Podejź bliżej, moje dziecko i usiądź tu koło mnie - zaprosiła Megan, przerywając lekturę. - Ty, Jake - zwróciła się do wnuka - możesz już iść spać, nasza Mies sama zaprowadzi Megan do jej pokoju.

Profesor przygryzał wargi, tłumiąc rozbawienie.

- Oto jak moja zacna babcia dba o dobre obyczaje w tym domu - rzekł figlarnym tonem. - Dobranoc zatem, babciu - pochylił się i ucałował starszą damę. - Dobranoc, proszę się nie spóźnić na śniadanie, bo musimy wcześniej wyjechać - zwrócił się do Megan i ku jej wielkiemu zaskoczeniu ucałował ją również.

- Siadaj tu blisko, na łóżku, moje dziecko, bo trochę kiepsko słyszę - zaprosiła jeszcze raz pani van Belfeld, gdy jej wnuk wyszedł. - Jake mi opowiadał, że pracowałaś w tym samym szpitalu, co on. Siostra oddziałowa, dobrze zapamiętałam? Przepiękna z ciebie panna, moje dziecko, pewnie jesteś już zaręczona, prawda?

Speszona Megan odpowiedziała najpierw, że tak, lecz zaraz się poprawiła, że nie. Następnie na prośbę starszej damy opowiedziała jej trochę o swoim domu i rodzinie. Słuchając jej, pani van Belfeld z aprobatą kiwała głową.

- Widzę, że Jake dokonał doskonałego wyboru - stwierdziła w końcu. - Będzie ci dobrze u nas w Holandii, moje dziecko. Teraz pocałuj mnie na dobranoc, a właściwie i na do widzenia. Nie wstaję zbyt wcześnie, a wy macie raniutko odjechać. Ogromnie mi było miło cię poznać. Mies nasza pokojówka, zaprowadzi cię do twojej sypialni.

Megan przespała całą noc nie budząc się ani razu. Wstała wcześnie, szybko się ubrała i w towarzystwie profesora zjadła śniadanie. Nie było jeszcze ósmej, gdy wyruszyli w dalszą drogę.

- Czy sierociniec jest już gdzieś niedaleko?. - spytała Megan, zauważając wreszcie bezskutecznie wypatrywane poprzedniego dnia wydmy.

- Owszem, właśnie w tej wsi, tylko trochę na uboczu, zaraz dojedziemy. A po drugiej stronie wydmy jest już morze.

Minęli centrum osady, z kościołem i skupionymi wokół niego domami. Skręcili w boczną drogę, wyłożoną kamienną kostką. Po chwili znaleźli się przed długim białym budynkiem krytym czerwoną dachówką i otoczonym rozległym obszarem zieleni, Wysiedli i przez szerokie drzwi weszli do obszernego holu. Tu powitała ich dość korpulentna, niebieskooka kobieta o niezwykle ciepłym wyglądzie i uśmiechu, ubrana w skromną ciemnozieloną sukienkę z białym kołnierzykiem i takimi samymi mankietami. Profesor serdecznie uściskał jej dłoń, po czym dokonał prezentacji:

- Siostra Megan Rodner z Londynu - dyrektorka domu dziecka, Juffrouw Bal. Proszę wybaczyć, Meg - dodał z przeproszającym uśmiechem - że zajmę naszej Juffrouw chwilę czasu, zanim będziecie panie mogły ze sobą porozmawiać. Mamy do uzgodnienia parę spraw, a ja o wpół do jedenastej muszę być w Hadze.

Megan spojrzała na profesora trochę bezradnie. Poczowała się nagie taka samotna, tu, w nowym miejscu i nowym kraju, w momencie rozstania... Z dobrym przyjacielem? Tak, z przyjacielem, nie zawahała się ani przez chwilę użyć w myślach tego słowa!

Nie wypowiedziała go jednak na głos, w ogóle nie powiedziała nic, uścisnęła tylko dłoń profesora van Belfelda i ruszyła posłusznie na górę za dziewczyną w pielęgniarzkim uniformie, która miała zaprowadzić ją do pokoju. W połowie schodów zatrzymała się i odwróciła. Zajęty rozmową profesor nawet nie popatrzył w jej stronę. Westchnęła i ruszyła dalej przed siebie. I chyba właśnie w tym momencie zaczęła sobie

uświadamiać, że to, co czuje do mężczyzny, który ją tu przywiózł i który właśnie tak obojętnie i oficjalnie się z nią pożegnał, to wcale nie przyjaźń, lecz... miłość! I pomyślała, że nie chce, bardzo, bardzo nie chce, żeby on zostawiał ją samą i odjeżdżał!

Młoda pielęgniarka, która przedstawiła się niezłą angielszczyzną jako Sine, weszła z Megan do jej pokoiku, ciasnego, ale czyściutkiego i przyjemnie urządzonego, z zasłonami i narzutą na łóżko z tego samego materiału w kwiatowy wzór. Zbliżyły się do okna, które wychodziło prosto na frontowy dziedziniec.

- Świetny wóz - odezwała się Sine, spoglądając na szarego rolls - royce'a. - Baron van Belfeld to bardzo bogaty człowiek, ale też bardzo dobry...

- Baron? - zdziwiła się Megan.

- Nie wiesz? W Anglii używa tylko tytułu profesora?

Megan skinęła głową. Westchnęła zrezygnowana. Profesor, baron, a choćby i jakiś holenderski książę krwi, o ile tacy tu są, jaka to w końcu dla niej różnica? Tak czy inaczej człowiek obcy, daleki... Wsiadł właśnie do tego swojego luksusowego samochodu i odjechał. Nawet nie spojrzął w okno z zasłonami w drobne różyczki. Westchnęła jeszcze raz.

- Czy będę musiała chodzić w uniformie? - zwróciła się z pytaniem do Sine.

- Tak, jest już dla ciebie przygotowany, wisi w szafie. Rozpakuj się, przebierz i zejdź do dyrektorki, mniej więcej za kwadrans.

- Dobrze, Sine. Dziękuję. - To na razie...

Sine wyszła. Megan szybko rozpakowała swoje rzeczy, przebrała się w zgrabnie uszyty uniform z jasnoniebieskiej bawełny, z krótkimi rękawami i wysokim kołnierzykiem, poprawiła fryzurę, przypudrowała nos i zeszła na dół, do holu. Zastukała do drzwi z tabliczką „Dyrektor”. Usłyszawszy

zaproszenie, weszła. Dyrektorka szeroko się do niej uśmiechnęła zza swego biurka.

- Proszę siadać, panno Rodner. Z pewnością czuje się pani jeszcze zagubiona, ale zapewniam, wszystko będzie dobrze. Co do obowiązków to będzie się pani zajmowała niemowlętami, w tej chwili mamy siedmioro, najmłodsze nie ma jeszcze trzech miesięcy, najstarsze liczy sobie roczek. Praca na dwie zmiany, jeden tydzień od trzeciej do dziesiątej wieczorem, drugi od siódmej rano do trzeciej. Bez nocnych dyżurów. Jeden dzień w tygodniu wolny. Robota ciężka, ale daje satysfakcję. Jest pani wykwalifikowaną pielęgniarką? To świetnie, w razie potrzeby wykorzystamy panią również do zabiegów. Mamy na miejscu ambulatorium, regularnie przyjeżdża lekarz. Chociaż dzieciaki, ogólnie biorąc, są zdrowe, odporne, mało chorują. Starsze chodzą do szkoły we wsi. Dla młodszych prowadzimy zajęcia przedszkolne na miejscu. Niemowląt to oczywiście nie dotyczy - roześmiała się dyrektorka. - Im jest potrzebna tylko dobra, serdeczna opieka. No i spacer, jak najwięcej spacerów! Nie przestraszyłam pani?

- Nie, ani trochę. Nie boję się tej pracy. To dla mnie wspaniałą odmianą po szpitalu i Londynie.

- Świetnie. Londyn... Mieszkało się tam trochę w młodych latach. Wspaniałe miasto, wolę jednak morze i wieś. No, teraz Sine weźmie panią na kawę, a potem oprowadzi po terenie. Albo odwrotnie... Jak wspomniałam, o trzeciej zaczyna się dyżur. Dzisiaj, za pierwszym razem, któraś z dziewcząt będzie pani przez cały czas asystować, pomagać, udzielać informacji i tak dalej... Aha, muszę jeszcze pani powiedzieć, że u nas wszyscy do wszystkich zwracają się po imieniu. Tak jest wygodniej i korzystniej ze względu na dzieci, mają wrażenie, że jesteśmy jedną dużą rodziną. Jak ma pani na imię, miss Rodner?

- Megan.

- Bardzo ładne imię. Mam nadzieję, że będzie pani u nas dobrze, Megan. Z mojej strony to na razie wszystko. Oddaję panią pod opiekę Sine.

Sine czekała już w holu. Oprowadziła Megan po całym budynku domu dziecka, obszernym, bardzo czystym i starannie urządzone. Pokazała jej wszystko: sypialnie, pokoje do zabaw, pokoje do nauki, pomieszczenia przeznaczone dla niemowląt, z odpowiednimi zapleczeniami do przewijania i mycia, kuchnię, jadalnię, łazienki, ambulatorium z niewielką izolatką...

- Lekarz jest na stałe? - zapytała Megan.

- Przyjeżdża profilaktycznie raz w tygodniu i w każdej chwili, jeśli trzeba. Wszystko już wiesz? To teraz chodźmy do pokoju pielęgniarek na kawę, przy okazji poznasz inne dziewczyny.

Weszły do niewielkiego pomieszczenia, którego umeblowanie ograniczało się do niewielkich klubowych stolików i krzeseł. Megan została przedstawiona kilku nowym koleżankom w różnym wieku. Usłyszała serię obco brzmiących imion, których oczywiście nie była w stanie spamiętać. Trochę się z tego powodu speszyła. Ucieszył ją za to fakt, że wszystkie pielęgniarki mówiły jako tako po angielsku. Postanowiła ze swej strony pilnie uczyć się języka holenderskiego.

- Jutro przed południem, jak będziesz wolna, któraś z nas zaprowadzi cię do wsi i tam też wszystko, pokaże - zapowiedziała Sine.

- Czy jest tam poczta? Można wysłać list? - Jest, owszem. Poza tym codziennie przychodzi;

listonosz, listy można oddawać jemu. No i można się wszędzie dodzwonić z automatu w holu, pokażę ci.

Megan chętnie skorzystała z telefonu. Zadzwoiła do domu, informując, że jest już na miejscu, że wszystko zapowiada się dobrze i że o szczegółach napisze w liście. Potem wróciła do swego pokoju. Stwierdziwszy, że do obiadu i późniejszego dyżuru ma jeszcze trochę czasu, zajęła się korespondencją. List do domu, obiecany list do Jenny Morgan... Pomyślała, że powinna też wysłać profesorowi coś w rodzaju podziękowania za pomoc. Wysłać, ale dokąd? Nie знаła przecież nawet nazwy miejscowości, w której znajdowała się rodowa siedziba van Belfeldów, profesor najwyraźniej nie widział potrzeby zostawiania jej swego adresu. Może nie chciał, żeby go znała? Megan westchnęła z rezygnacją już po raz trzeci tego dnia, po czym wyszła z pokoju i skierowała się do jadalni.

Sine znowu czekała. Podprowadziła Megan do stolika i przedstawiła jej jeszcze dwie pielęgniarzki: Helene i Anneke. Anneke, krzepka dziewczyna o miłej okrągłej buzi i rumianych policzkach, miała tego popołudnia pomagać Megan przy jej niemowlakach. Nieźle radziła sobie z angielskim, podobnie jak Sine. Helene natomiast znała zaledwie parę słów, za to braki skutecznie nadrabiała uśmiechem.

Obiad minął w sympatycznym nastroju. Był też smaczny: sznycelki, ziemniaki, marchewka, a na deser jogurt i kawa. Sine poinformowała Megan, że kolacja będzie o szóstej.

Ponieważ do rozpoczęcia dyżuru nadal pozostawało nieco czasu, Megan z chęcią przystała na propozycję Anneke, by przejść się w stronę plaży. Przez niewielką furtkę na tyłach ogrodu wydoostały się poza teren sierocińca i ruszyły wąską ścieżką wśród wydm. Po niedługim marszu dotarły do wybrzeża. Przed nimi, aż po horyzont, chłodnym błękitem rozpościerało się morze, ograniczone od strony lądu szeroką, złocistą wstęgą piasku.

- Ładnie? - zapytała Anneke.

- Cudownie!

- Plażą można iść całe kilometry. W jedną stronę do Helder, w drugą do Haarlemu. O ile tylko nie jest za zimno.

Megan pomyślała nieoczekiwanie, że gdyby przyszło jej wędrować tą cudowną plażą w towarzystwie profesora, nie bałaby się najgorszego chłodu. Ani wiatru, ani fali... Zirytowała się sama na siebie za te bezsensowne rojenia. Nie powinna... Ale czy zdoła?

Dopiero dyżur pozwolił jej o wszystkim zapomnieć. Maluchy wymagały ustawicznego karmienia, pojenia, przewijania, mycia, zabawiania. Anneke radziła sobie świetnie, równocześnie udzielając mnóstwa informacji.

- Czy te maleństwa wszystkie są sierotami? - spytała ją w którymś momencie Megan.

- Tak, wszystkie... to znaczy, jak to powiedzieć... wszystkie zostały porzucone. Tego najmniejszego, ma na imię Jan - wskazała na niemowlaka - znaleziono na wydmach w papierowej torbie. Chucherko miało zaledwie parę dni, ale u nas rośnie na pięknego chłopaka, no nie?

- Jest śliczny - stwierdziła z przekonaniem Megan i przytuliła malucha.

- Lise została znaleziona przez profesora w Beverwijk, po prostu na ulicy. Wiesz, on bardzo się troszczy o nasze dzieci, to wspaniały człowiek!

- Tak, wiem... - odezwała się z cicha Megan i spłoneła rumieńcem.

Kolejne dni w holenderskim sierocińcu mijały Megan bardzo pracowicie. Była z tego zadowolona, bo im więcej miała zajęć, tym mniej czasu na rozpamiętywanie osobistych problemów. W wolnym czasie najchętniej spacerowała po wydmach i plaży. A w pierwszy wolny dzień pożyczyła sobie rower i wybrała się na dłuższą wyprawę. Pojechała do Castricum, zjadła tam obiad i udała się dalej na północ, aż do

miasteczka Egmond. Wycieczka była wspaniała, tylko że...
Właśnie, profesor!

Któregoś dnia Megan napisała do niego list, utrzymane w oficjalnym tonie podziękowanie za wszystko, co dla niej uczynił. List ten wysłała, za radą dyrektorki, na adres szpitala w Lejdzie. W ogóle sporo czasu poświęcała na korespondencję, z rodziną, przyjaciółmi. Oscara obdarzyła pocztówką z krótkim tekstem wyrażającym jej zachwyt dla piękna holenderskiego krajobrazu i zadowolenie z nowej pracy.

Megan była w domu dziecka już drugi tydzień, kiedy na jej dyżurze do sali niemowlaków weszła dyrektorka w towarzystwie dość młodego mężczyzny.

- Doktor Timuss, nasz lekarz - przedstawiła go. - A to siostra Megan Rodner z Anglii, zastępuje Mien w czasie jej pobytu w Kanadzie.

- Bardzo mi miło - odezwał się lekarz z uśmiechem, nienaganną angielszczyzną. - Czy zna pani trochę język holenderski?

- Niestety, nie. Ale czy muszę, skoro wszyscy w Holandii tak świetnie radzą sobie z angielskim?

- No, może nie wszyscy, ale większość. I bardzo lubimy się tym popisować.

Roześmiali się oboje. Doktor Timuss zbadał kolejno wszystkie maluchy. Po skończonym obchodzie, żegnając się z Megan, rzucił zachęcająco:

- Mieszkam w Castricum, w jakiś wolny dzień chętnie pokazałbym pani naszą okolicę, koniecznie musimy się umówić...

Megan nie oponowała, potwierdziła nawet z uśmiechem, że tak, owszem, powinni, jak tylko znajdą oboje trochę czasu, czemu nie. Ledwie jednak lekarz wyszedł, natychmiast zapomniała o nim i o jego propozycji. Jej myśli wciąż bowiem

krążyły wokół innego mężczyzny. I nikt poza nim w najmniejszym stopniu się dla Megan nie liczył.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W następny wolny dzień Megan pojechała rowerem do Castricum, a stamtąd wybrała się autobusem do słynącego z serowych targów Alkmaar. Kiedy spacerowała po pełnym turystów, zabytkowym centrum miasta, ktoś zagadnął ją nagle po angielsku:

- Zwiedzamy?

Był to doktor Timuss.

- Jeśli nie ma pani nic lepszego do roboty, proszę zjeść ze mną lunch - zaproponował. - Mam czas do piątej, dopiero wtedy muszę być w szpitalu.

- Z przyjemnością, dziękuję - zgodziła się Megan, trochę głodna, a trochę po prostu złaknięta towarzystwa i rozmowy.

Doktor Timuss zaprowadził ją do restauracji w hotelu „De Nachtegaal”. Zajęli stolik pod oknem, usiedli naprzeciwko siebie. Doktor zamówił sherry i zaproponował Megan, że sam wybierze dla obojga coś smacznego z holenderskiej kuchni. Zgodziła się, Timuss złożył zamówienie. Po chwili kelner podał tosty z masłem i wędzonym węgorzem, sałatkę z szynką i frytki. Na deser były wspaniałe, ogromne lody.

Podczas posiłku, w trakcie miłej, swobodnej rozmowy, doktor wypytywał Megan o wrażenia z pobytu w Holandii, interesował się jej dalszymi planami. Zaczął też opowiadać o sobie.

- Moja narzeczona, Imogen, jest na ostatnim roku medycyny w Groningen. Gdy zrobi dyplom, zamierzamy się pobrać. Będziemy pracowali razem, Castricum wciąż się rozrasta, wystarczy pacjentów dla dwojga lekarzy! - mówił z entuzjazmem. - A pani, Megan, ma jakąś bliską sercu osobę, jeśli wolno spytać? - zakończył.

Odpowiedziała krótko, że nie. Porozmawiali jeszcze chwilę na obojętny temat, po czym pożegnali się i rozeszli

każde w swoją stronę: on do szpitala, ona do autobusu, żeby zdążyć na szóstą na kolację w domu dziecka.

Mijały kolejne dni. Megan zazwyczaj była zbyt zajęta, by mieć czas na dłuższe rozpamiętywanie swych sercowych rozterek. Pracowała, uczyła się holenderskiego, spacerowała. Po trosze zaczęła myśleć o powrocie do Anglii i o konieczności poszukiwania tam nowej pracy. Zamierzała, przynajmniej na jakiś czas, postarać się o posadę poza Londynem, na prowincji, w miejscu podobnym do tego, w którym znajdowała się teraz. Najchętniej zresztą, jak się jej zdawało, zostałaby po prostu tutaj, gdyby to było możliwe. Przynajmniej od czasu do czasu miałyby wówczas okazję zobaczyć profesora van Belfelda...

Nie spodziewała się, że zobaczy go znacznie prędzej, niż mogłaby oczekiwać. Któregoś dnia stała przy oknie w sali niemowlaków w towarzystwie doktora Timussa, który właśnie pokazywał jej zdjęcie swojej Imogen. Oboje byli pochyleni nad fotografią, trochę konfidencjonalnie roześmiani. Profesor cicho otworzył drzwi. Na ich widok zatrzymał się w progu. Stał chwilę w bezruchu i napięciu, w końcu zrobił parę kroków do przodu. Doktor Timuss zauważył go pierwszy.

- Witamy, panie profesorze, witamy! Uścisnęli sobie dłonie i zamienili parę słów po holendersku. Przechodząc na angielski, profesor odezwał się tonem, w którym nie było niczego poza chłodną uprzejmością:

- Dzień dobry, Megan. Zadowolona pani z pracy?

- Bardzo, panie profesorze - odpowiedziała łamiącym się z wrażenia głosem.

Pod wpływem lodowatego spojrzenia niebieskich oczu profesora Megan najpierw zarumieniła się z przejęcia, a potem raptownie zbladła. Próbowała sobie naprędce wytłumaczyć, w jaki sposób ten tak bardzo przyjazny dla niej człowiek mógł stać się w ciągu niewielu dni kimś równie zimnym i obcym. A

jeśli już musiał się kimś takim stać - stawiała w myślach pytanie - dlaczego w ogóle przyjechał? Czemu właściwie nie pozwolił, by go zapamiętała takim, jaki był dawniej?

- Proszę sobie nie przeszkadzać, siostró, mam parę spraw do omówienia z doktorem Timussem - rzucił na koniec krótko van Belfeld i w towarzystwie lekarza opuścił salę.

Megan została sama ze swoimi maluchami. Musiała się nimi zajmować jeszcze przez dość długi czas, dopiero w porze obiadu, zastąpiona tymczasowo przez inną pielęgniarkę, miała okazję wyjść i zerknąć z okna holu na frontowy dziedziniec. Szary rolls - royce wciąż jeszcze stał przed domem dziecka. Megan udała się do stołówki i zjadła posiłek. Gdy wracała na dalszy ciąg dyżuru, ujrzała profesora po raz drugi tego dnia. Szedł korytarzem w towarzystwie dyrektorki i Timussa. Megan odniosła wrażenie, że jej w ogóle nie dostrzegł, choć przechodziła tuż obok. Nawet kiedy spojrzała mu prosto w twarz, poczuła się tak, jakby patrzyła na białą, nieprzenikniętą ścianę. Gwałtownie zacisnęła powieki, by stłumić napływające do oczu łzy. Pomyślała z goryczą, że skoro musiała już się zakochać, to dlaczego w kimś tak okropnym, nieznośnym, zimnym i obojętnym wobec wszystkiego i wszystkich? „Wobec wszystkiego i wszystkich” miało oczywiście znaczyć wobec Megan Rodner i jej nie wyjawionych uczuć.

- Obym nie musiała go już nigdy więcej oglądać! - mruknęła sama do siebie ze złością i żalem, lecz również z gorzką świadomością tego, że wcale nie chce spełnienia własnych życzeń.

Wróciwszy do domu, profesor usiłował zmusić się do zjedzenia obiadu, szybko jednak dał za wygraną, wstał od stołu, gwizdnął na psy i wyszedł w ich towarzystwie na długi, daleki spacer. Potrzebował odosobnienia i czasu na przemyślenie splotu spraw związanych z osobą Megan

Rodner. Wyjątkowo uroczą osobą! Zainteresował się nią jeszcze w okresie, gdy była zaręczona z Oscarem Fieldingiem. Obserwował i podziwiał ją z daleka, z dystansu, nie chciał niczego psuć pomiędzy parą narzeczonych. Kiedy narzeczeństwo zostało zerwane, poczuł się swobodniejszy. Zaczął trochę wyraźniej okazywać Megan swoje względy. Starał się jej pomóc w trudnych chwilach, służył radą i oparciem, w końcu przywiózł ją tu, do Holandii. Chciał, aby w nowym otoczeniu i w nowym kraju mogła spokojnie zapomnieć o przykrych przeżyciach i... swobodnie posłuchać głosu swego serca. W żadnym wypadku nie zamierzał doraźnie wykorzystywać osamotnienia i zagubienia Megan, nie narzucał się, nie próbował wywierać jakichkolwiek nacisków, nie ponaglał. Cierpliwie czekał na moment, w którym byłby już pewien jej przychylności, sympatii, uczucia. Dopiero wtedy pragnął powiedzieć o wszystkim, co sam wobec niej odczuwał, o swym zaangażowaniu, o swojej miłości. Dlatego dotąd nie pisał. Nie odpowiedział jej nawet na ten zabawnie napsuszony list z podziękowaniami, który otrzymał jakiś czas temu i stale nosił przy sobie. Celowo nie odwiedzał też domu dziecka. Zjawił się dopiero dzisiaj, pełen nadziei, że wymarzona chwila wzajemnej deklaracji uczuć okaże się już bardzo bliska. A tymczasem? Nieoczekiwanie zastał Megan we wspaniałej komitywie z tym doktorkiem, z tym beczelnym chłystkiem Timussem! Na samo wspomnienie sceny, której był mimowolnym świadkiem, musiał teraz zacisnąć zęby aż do bólu. Oni dwoje, pochyleni nad jakąś fotografią, pewnie wspólną, zadowoleni, roześmiani! Jego Megan i młody Timuss... Ba, oboje młodzi, podczas gdy on zbliżał się już do czterdziestki. Lecz przecież kochał Megan i intuicyjnie wyczuwał, że ona też go kocha, chociaż być może nie uświadamia sobie tego tak całkiem

wyraźnie. Wierzył w to wzajemne uczucie, był przekonany, że jest prawdziwe. I że w związku z tym ostatecznie zwycięży!

Mimo obaw, profesor postanowił nadal nie podejmować żadnych prób przyciągnięcia do siebie Megan na siłę. Chciał, żeby zbliżyła się do niego spontanicznie, z własnej nieprzymuszonej woli. Zdecydował się czekać. Cierpliwie i, na ile to możliwe, spokojnie. Wrócił do domu, ku ogromnemu zadowoleniu zatroskanego kamerdynera Litmana zjadł obfitą kolację, po czym przeszedł do gabinetu i zajął się pracą. Minęła północ, a on ciągle jeszcze tkwił za biurkiem. Nie mógł niestety wiedzieć, że w tym samym czasie Megan Rodner, leżąc bezsennie w łóżku, wypłakiwała sobie oczy właśnie z jego powodu.

W kolejny wolny dzień Megan wybrała się do Lejdy. Miała chęć poznać to historyczne niderlandzkie miasto ze względu na jego słynne muzea i zabytki. Nade wszystko jednak chciała znaleźć się, choć na krótko, w miejscu, gdzie pracował w klinice i prowadził wykłady profesor van Belfeld. Nie po to, żeby go szukać! Raczej by pooddychać atmosferą miasta, z którym był związany, które systematycznie odwiedzał. I zachować tę atmosferę jak najdłużej w pamięci, razem ze wspomnieniami o nim!

Wyjechała z Castricum porannym pociągiem. W niewielkim lokaliku w pobliżu dworca kolejowego w Lejdzie wypła kawę, potem, posługując się ulotką, jaką otrzymała w biurze informacji turystycznej, zwiedziła stare centrum z zabytkowym ratuszem, halami targowymi i wspaniałym, monumentalnym kościołem Sint Pieterskerk.

Około południa, w jednym z licznych barów wyspecjalizowanych właśnie w tym daniu, posiliła się słynnymi holenderskimi naleśnikami, po czym wyruszyła w stronę uniwersytetu. Spacerowała dość długo po terytorium tej szacownej, najstarszej w kraju uczelni, zaglądając i

zatrzymując się tu i ówdzie. Przez cały czas myślała o profesorze. Nie miała pojęcia, że on, we własnej osobie, obserwuje ją przez jedno z okien. Że cieszy się, widząc ją samą, bez niepożądanego towarzystwa młodego lekarza z Castricum czy jakiegoś innego mężczyzny!

Rzuciwszy raz jeszcze okiem na kompleks uniwersyteckich budynków, rozlokowanych malowniczo nad kanałem Rapenburg, a także westchnąwszy sobie głęboko, Megan udała się po zakupy. Koleżanki z domu dziecka bardzo polecały jej tutejsze sklepy z pamiątkami i upominkami. I słusznie. Megan bez trudu zaopatrzyła się w przepiękne, artystyczne wyroby z holenderskiej porcelany i srebra dla siebie, najbliższych i przyjaciół. Za najodpowiedniejszy, bo najbardziej bezosobowy, prezent dla Oscara uznała album z fotografiami zabytków najstarszych miast niderlandzkich. Po zakupach zjadła jeszcze w pobliżu dworca kolejowego podwieczorek. Wróciła pociągiem do Castricum i autobusem do domu.

Do domu? Megan zdawała sobie sprawę, że wkrótce będzie musiała to gościnne miejsce opuścić. Myślała o tym z żalem. Ogromnie bowiem polubiła dom i wszystkich bez wyjątku jego mieszkańców.

Kilka dni później, podczas dyżuru Megan do sali niemowlaków weszła dyrektorka.

- Przyszłam ci powiedzieć, Megan - odezwała się z uśmiechem - że nie później niż za dwa tygodnie, będziesz mogła wracać do domu, do Anglii. Konkretniej daty powrotu Mien jeszcze nie znam, ale chciałam cię zawczasu uprzedzić.

- Dziękuję. Żal mi będzie wyjeżdżać. Ogromnie polubiłam dzieciaki, koleżanki, panią...

- Nam też będzie cię bardzo brakowało, Megan. Dobrze się czujesz? Bo tak mi coś pobladaś. Przepracowanie?

- Och, nie! Czuję się całkiem dobrze. - Gdybyś czegoś potrzebowała, przychodź do mnie bez skrępowania. Tymczasem pędzę dalej. Tyle roboty...

Dyrektorka wyszła, Megan zajęła się swoimi niemowlakami. Przewijanie, kąpanie, karmienie, pracy było jak zawsze tyle, że aż do końca dyżuru nie miała nawet okazji skupić się nad otrzymaną wiadomością ani zastanowić się, co ona naprawdę dla niej oznacza. Dopiero po południu, znalazłszy się w pokoju sam na sam z własnymi myślami, uświadomiła sobie wszystko po kolei. Że niebawem będzie musiała poszukać sobie nowej pracy. Najlepiej niezbyt daleko od Little Swanley. Ale i niezbyt blisko, żeby uniknąć niepotrzebnych spotkań z Oscarem. Może w szpitalu, zgodnie z pielęgniarскими kwalifikacjami i doświadczeniem z Regent's? A może raczej w domu dziecka, takim jak ten?

Chcąc swobodnie porozmyślać, a przy tym odprężyć się trochę na świeżym powietrzu, Megan przebrała się ze służbowego uniformu we własną bawełnianą sukienkę i sweter i ruszyła nad morze. Dzień był dość ciepły, mimo że słońce musiało się przebijać przez wilgotny filtr lekkiej mgły. Spojrzała w górę na niebo, przed siebie na falującą wodę, w prawo i w lewo na rozciągający się aż; po kres zasięgu wzroku pas plaży. Zdecydowała się pójść w prawo, na północ, w kierunku odległego o sześć kilometrów Egmond - aan - Zee. Miała w kieszeni trochę drobnych, gdyby się zmęczyła, mogła wrócić autobusem. Ruszyła równym, dość szybkim krokiem. Wciąż zamyślona, nie zauważyła nawet, że ciemne pasemko, rysujące się wcześniej cienką kreską ponad morzem daleko na linii horyzontu, zbliżało się z każdą chwilą w stronę lądu i przekształcało w potężny wał groźnych burzowych chmur.

Wszystko zaczęło się nagle oślepiającą błyskawicą i ogłuszającym grzmotem. Megan zatrzymała się, spojrzała

uważnie w niebo i na morze. Stwierdziła z przerażeniem, że ponure, mroczne kłębowisko nadciąga nad plażę w niewiarygodnie szybkim tempie. Postanowiła szukać schronienia na wydmach.

Nim zdołała do nich dotrzeć, brnąc poprzez szeroki pas suchego, miążskiego piachu, żywioł rozszalał się na dobre. To nie była zwyczajna burza, ale prawdziwa sztormowa nawałnica! Ulewny deszcz dosłownie w jednej chwili przemoczył Megan do ostatniej nitki. W ostrych podmuchach wiatru prawie natychmiast zaczęła drżeć z zimna. Przejął ją również lęk. Pioruny biły raz po raz, blisko, coraz to bliżej. W pierwszej chwili Megan uległa panice i zaczęła po prostu płakać i krzyczeć. Ten gwałtowny, nie kontrolowany wybuch emocji rozładował ją, uspokoił, pozwolił wrócić po kilku minutach do jakiejś takiej równowagi i bardziej trzeźwo ocenić sytuację. Była doprawdy nie najciekawsza. Niskie zarośla i karłowate drzewa na wydmach w znikomym stopniu chroniły przed naporem wichury i ulewy. Burza nie zamierzała słabnąć, przeciwnie, wciąż jeszcze zdawała się przybierać na sile. Czarne, ze złowrogim żółtawym odcieniem chmury przesłoniły całe niebo. Zrobiło się prawie całkiem ciemno, zupełnie tak, jakby nagle zapadł zmierzch. Megan doszła do wniosku, że w żadnym wypadku nie wolno jej biernie czekać. Że musi iść, kierując się w głąb lądu. W ten sposób prędzej czy później dotrze do drogi, która biegnie wybrzeżem równoległe do pasa wydm. Będzie mogła nią wrócić do domu piechotą, a jeśli szczęście dopisze, to nawet jakimś przejeżdżającym przypadkowo samochodem.

Z samozaparciem ruszyła przed siebie. Niestety, przemarznięta, przemoczona, ogłuszona, wyczerpana i wystraszona straciła orientację w terenie i zamiast na południowy wschód, w głąb lądu, skierowała się na północ. W ten sposób nie tylko zaczęła oddalać się niepotrzebnie, ale

straciła też szansę na szybkie wydostanie się z labiryntu wydm na otwartą przestrzeń.

Szła pośród zarośli, które wkrótce zrobiły się na tyle wysokie i gęste, że całkowicie przesłoniły morze, jedyny punkt orientacyjny. Megan nie pozostało nic innego, jak tylko zaufać piaszczystej ścieżce, która musiała przecież dokądś prowadzić. W istocie prowadziła... do rozwidlenia. Megan zdecydowała się pójść w prawo, rozumując trafnie, że lewa odnoga doprowadziłaby ją z powrotem do plaży. Parła naprzód, brnęła przez mokry piach, coraz częściej potykając się i zataczając ze zmęczenia. Opanowana przez jedną tylko myśl - dotrzeć do drogi! - mobilizowała ogromnym wysiłkiem woli całą energię i siły. Niestety, nie zdawała sobie sprawy, że każdy krok oddala ją od domu, droga biegnie równoległe do toru jej marszu i wciąż pozostaje mniej więcej tak samo odległa, a cały wysiłek idzie po prostu na marne!

Chociaż... W którymś momencie, kiedy kolejna błyskawica rozświetliła na chwilę panujący wokół mrok, Megan dostrzegła na skraju ścieżki jakąś białą plamę. Kierowana nieoczekiwanym i w zasadzie zupełnie niezrozumiałym w jej sytuacji odruchem zaciekawienia, zatrzymała się i pochyliła. Pod krzakiem leżała plastikowa reklamówka z nadrukiem, jedna z tych toreb, z jakich tysiącami korzystają klienci sieci supermarketów „Albert Heijn”. Megan wzruszyła ramionami i już miała iść dalej, kiedy stwierdziła, że w reklamówce jest coś, co się porusza. Ostrożnie, z lekką obawą zajrzała do środka. Dziecko! Noworodek zawinięty w kawałek koca. Przemoczony i przemarznięty, ale żywy!

- Dzięki ci, Panie Boże, że sprowadziłeś mnie na to pustkowie i nie pozwoliłeś zginąć biednemu maleństwu - niemalże modlitewnym tonem odezwała się Megan, czując

nieoczekiwany przyływ sił i nadziei. - Zechciej teraz tylko sprawić, żebyśmy odnaleźli drogę i trafili do domu!

Nawałnica na moment osłabła, jakby na znak, że prośba Megan została wysłuchana. Niestety na krótko, bo po paru minutach rozszalała się znowu, z jeszcze większą siłą. Zrobiło się bardzo zimno, niemal mroźno, a padający dotąd deszcz przeszedł w gruby, gęsty grad. Ostre bryłki lodu siekły boleśnie niczym serie pocisków. Megan nie miała wyjścia. Zamiast posuwać się dalej, musiała przycupnąć na skraju ścieżki, osłonić ramionami noworodka i po prostu czekać. Na co? Chyba wyłącznie na kolejny Boski cud, jak szepnęła sama do siebie w chwili całkowitego już niemal upadku ducha. Czy mogła przypuścić, że cud w istocie nastąpi?

W porze kolacji przyjaciółki z domu dziecka zaczęły się martwić nieobecnością Megan. Gdzie się tak długo podziewa? Wspominała kiedyś, że chciałyby zrobić sobie wycieczkę plażą aż do Egmond - aan - Zee. Jeśli pechowo wybrała się na nią właśnie dzisiaj, to gdzie teraz jest? Gdzie zastała ją burza? Czy Megan miała szansę znaleźć jakiegokolwiek schronienie przed wiatrem, deszczem i gradem? Zaniepokojone dziewczyny wysłały Anneke po radę do dyrektorki. Zdążyła właśnie opowiedzieć o wszystkim, gdy w gabinecie Juffrouw Bal zadzwonił telefon. Profesor van Belfeld chciał się dowiedzieć, czy w domu dziecka wszystko w porządku.

- Wysiadła elektryczność, siedzimy przy lampach i świecach - poinformowała go dyrektorka. - Ale mamy poważniejsze zmartwienie, panie profesorze - dodała pośpiesznie. - Chodzi o Megan Rodner, przed burzą wyszła na spacer i dotąd nie wróciła. Podobno wybierała się plażą do Egmond, chociaż to nic pewnego. Może po prostu jest gdzieś we wsi? A może jednak błąka się po wydmach? Zupełnie nie wiem, co robić. Zawiadomić policję?

- Na razie proszę się z tym wstrzymać - profesor wydawał się jeszcze bardziej opanowany niż zazwyczaj. - Dzwonię z domu, już siadam za kierownicę, wkrótce tam u was będę...

Mimo fatalnych warunków jazdy istotnie pojawił się w niedługim czasie. Zrzucił w holu przeciwdeszczowy płaszcz i wszedł szybkim krokiem prosto do gabinetu. Razem z dyrektorką stanęli przed zawieszoną na ścianie dużą mapą najbliższej okolicy domu dziecka.

- Skończyła dyżur o trzeciej - mówił profesor po trosze do Juffrouw Bal, a po trosze sam do siebie.

- Dajmy jej pół godzinki na przebranie się. Wyszła mniej więcej o wpół do czwartej, a burza rozszalała się... tak gdzieś... około wpół do piątej. To znaczy, że plażą albo wydmami, tak czy inaczej po grząskim piachu, mogła do tego czasu przejść... no... na pewno nie więcej niż trzy kilometry. A więc jest teraz gdzieś tu! - Profesor lekko podniósł głos i wskazał palcem przypuszczalny punkt na mapie. - Uciekając przed nawałnicą na pewno dotarła do drogi czy przynajmniej w jej pobliżu. Jadę, będę jej szukał!

- Może wziąłby pan ze sobą kogoś do pomocy? - zapytała dyrektorka.

- Nie, nie chcę nikogo narażać na przemoknięcie. Poprosiłbym tylko o jakiś koc...

Włożył płaszcz, osłonił nim przyniesiony natychmiast przez Anneke gruby pled i wybiegł do samochodu. Uruchomił silnik, włączył światła i wycieraczki i ruszył wąską drogą, która prowadziła równolegle do wydm w stronę Egmond.

Dotarłszy na miejsce, jakie wyznaczył sobie na mapie, zatrzymał wóz, wziął latarkę i wysiadł. Grad znów przeszedł w deszcz, wciąż ulewny i zimny, jednak już nie tak gwałtowny, jak wcześniej. Wiatr nieco ucichł, odstępy między kolejnymi grzmotami wydłużyły się. Profesor rozejrzał się po poboczach drogi, a potem ruszył w głąb wydm. Zaczął

kluczyć tu i tam, penetrując teren. Świecił latarką, wpatrywał się w mrok, od czasu do czasu głośno nawoływał. Dość długo nie było żadnej odpowiedzi, lecz w końcu z ciemności dobiegł jakiś słaby głos. Po chwili, w blasku latarki, profesor ujrzał godną najwyższego współczucia, przemokniętą do suchej nitki, trzęsącą się z zimna, pochlipującą postać z dużą plastikową torbą w ramionach. Nareszcie! Podbiegł, objął Megan ramionami, przytulił.

- Jake, to ty, Jake? - wyszeptała przez łyzy, wpatrując się w twarz profesora z taką uwagą i napięciem, jakby nie mogła uwierzyć, że naprawdę go widzi. - Tu... w tej torbie... jest... dziecko - dodała, po czym rozkleiła się zupełnie i wybuchnęła głośnym spazmatycznym płaczem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Profesor nie zadawał żadnych niepotrzebnych pytań. W świetle latarki przyjrzał się dziecku, splakaną Megan cmoknął w policzek, a potem ulokował oboje na wyścielonym kocem przednim siedzeniu samochodu i czym prędzej odwiózł do domu dziecka. Małeństwem zajął się wezwany przez dyrektorkę doktor Timuss, a o Megan zatroszczyły się Anneke i Sine. Dopilnowały, by natychmiast zdjęła mokre ubranie, wzięła ciepły prysznic i położyła się do łóżka. Napoiły gorącym mlekiem.

- Czy dyrektorka jest bardzo zła na mnie? - spytała Megan, gdy już trochę oprzytomniała.

- Zła? Jak to, zła? - zdziwiła się Sine. - Jest szczęśliwa, że nic złego ci się nie stało, ta burza była potworna, spowodowała mnóstwo zniszczeń w całej okolicy. No i cieszy się, że uratowałaś dziecko!

- To chłopiec czy dziewczynka?

- Dziewczynka. Doktor Timuss już się nią zajął, profesor mu pomaga.

Do pokoju zajrzała dyrektorka.

- Ale miałaś przygodę, Megan, nie zazdroszczę. Całe szczęście, że profesor cię odnalazł. Może obejdzie się nawet bez kataru...

- W tej chwili czuję się całkiem dobrze, pani dyrektor. A jak dziecko?

- Biedne małeństwo... Wiesz, to ledwie jednodniowy, no, może dwudniowy noworodek. Kruszynka. Ale takie kruszynki są bardzo wytrzymałe, myślę, że wszystko będzie w porządku. Na razie oczywiście potrzebuje szpitalnej opieki, profesor i doktor Timuss zawiozą ją do kliniki, do Lejdy. Jak się trochę wzmocni, wróci do nas. Nazwiemy ją Megan, na twoją cześć. A kiedy będzie starsza, opowiemy jej, komu zawdzięcza życie.

Dyrektorka wyszła. Sine przyniosła na tacy kolację i podała Megan do łóżka. Po chwili obie z Anneke powiedziały „dobranoc” i również opuściły pokój. Megan została sama. Zaczęła rozmyślać o wszystkim, co się tego dnia wydarzyło: o otrzymanej rano wiadomości, o burzy, o znalezieniu porzuconego noworodka. I oczywiście o profesorze. Odnalazł ją, po raz kolejny uratował z opresji. I tak serdecznie, tak czule przytulił tam na wydmach! A teraz nawet nie zajrzał, żeby zapytać, jak się czuje... Może nie zdążył? Może natychmiast musiał jechać z Timussem i maleństwem do tej Lejdy? Nie będąc w stanie odpowiedzieć sobie na żadne z tych pytań, Megan po prostu zasnęła.

Gdy obudziła się rano, na szafce nocnej przy łóżku czekał już na nią list. Babka profesora, dowiedziawszy się o rychłym wyjeździe Megan do Anglii, postanowiła zaprosić ją na pożegnalny obiad w najbliższy wolny dzień. Prosiła o możliwie szybką odpowiedź, kiedy przysłać samochód. Megan odpisała starszej damie, że spotka się z nią z ogromną przyjemnością, a wolny dzień będzie miała pojutrze. Ponieważ czuła się zupełnie dobrze, o zwykłej porze udała się na dyżur.

Następnego dnia dyżurowała również. Odwiedził ją doktor Timuss.

- Mała Megan miewa się nieźle - oznajmił od progu. - Za kilka tygodni powinna tu wrócić, bo policja nie rokuje zbyt wielkich nadziei na odnalezienie jej matki. Szczęście, że ją pani znalazła, a potem profesor panią. Podobno od razu trafił we właściwe miejsce! Zawsze nieomylny. Chociaż nie... Proszę sobie wyobrazić, on myślał, że pani i ja... no, mniejsza z tym, w każdym razie sprawa została wyjaśniona.

Profesor wyjechał do Anglii. Pani też lada dzień tam wraca, prawda? Szkoda, że nie będziemy się już widywać. Proszę przynajmniej przysłać pocztówkę. Będzie nam pani bardzo brakowało.

- Mnie też bardzo będzie brakowało tego domu. Naprawdę...

Nazajutrz Megan miała wolny dzień. Baronowa van Belfeld, zgodnie z umową, o wpół do dwunastej przysłała po nią samochód, staroświeckiego daimlera z młodym kierowcą, który przedstawił się jako Dirk, syn Litmana. Sam Litman, dostojny jak zwykle, powitał Megan w drzwiach domu, po czym wprowadził do salonu, gdzie już czekała starsza dama. Siedziała w fotelu, z rudym kotem na kolanach.

- Jakże się cieszę, że jesteś, moje dziecko - przywitała Megan ciepło i serdecznie. - Pięknie wyglądasz! Jake mi mówił, że masz dwadzieścia osiem lat, ale ja dałabym ci w tej chwili o dobre dziesięć mniej. Śliczna cera, rumieńce... Zupełnie inaczej, niż poprzednim razem. Wtedy byłaś taka bledziutka... Dobre morskie powietrze czyni cuda, bez dwóch zdań, zawsze to powtarzam!

Pokojówka podała kawę w delikatnych porcelanowych filiżankach i pyszne kruche biszkopciki. Baronowa zaczęła szeroko opowiadać Megan o postaciach ze starych rodzinnych portretów, które licznie zdobiły ściany salonu. Niestety, mówiąc o protoplastach rodu van Belfeldów, nie wspominała ani słowem o jego najmłodszym przedstawicielu, profesorze. Megan miała wielką ochotę o niego zapytać, nie chciała jednak czynić tego wprost w obawie, że może zostać posądzona o nachalność czy wścibstwo. Milczała więc, a kiedy starsza dama przeszła od opowieści o ludziach do opowieści o ich ulubionych zwierzętach, zagadnęła ją w pewnym momencie:

- Czy pani kotka żyje w zgodzie z psami?

- O, tak, nawet lubi ich towarzystwo - odparła baronowa.
- Teraz Rosie i Swift są na spacerze - dodała - z synem naszego Litmana. Zawsze lubią sobie pobiegać, ale najbardziej, kiedy wyprowadza je Jake. Jak wyjeżdża,

tęsknią... Ja też, moje dziecko, a gdy wrócę do Hagi, będę tęskniła jeszcze bardziej.

- Sądziłam, że mieszka pani tutaj...

- Nie, moje dziecko - starsza dama pokręciła głową. - Na stałe mieszkam w Hadze, mam własny apartament w domu mojego syna i jego żony, rodziców Jake'a. Przyjechałam tutaj, bo oni są teraz w Nowej Zelandii, w odwiedzinach u córki, siostry Jake'a, która wyszła za mąż za chirurga z Wellington. Wkrótce wracają do Hagi, a wówczas i ja wrócę. Dziwisz się, że nie mieszkamy wszyscy tutaj, w tym obszernym domu? Widzisz, u van Belfeldów od wieków panuje zwyczaj, że tę siedzibę otrzymuje w wyłączne władanie najstarszy syn rodu w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin. Tu się żeni, wychowuje dzieci. A gdy przychodzi pora, znów przekazuje posiadłość swemu najstarszemu synowi...

- To bardzo ciekawe. I takie niezwykle - odezwała się Megan. - Ale przecież profesor nie jest żonaty i nie ma dzieci!

- Na razie nie. Lecz mężczyźni z rodu van Belfeldów nigdy nie spieszą się z ożenkiem i założeniem rodziny. Za to jeśli już zawierają małżeństwo, to wyłącznie z miłości. I są bezwzględnie wierni swym wybrankom, do końca życia. Miłość i wierność, dwie nasze podstawowe zasady, obowiązują wszystkich, Jake'a oczywiście również.

Korzystając z okazji, Megan odważyła się zadać pytanie:

- Czy profesor wyjechał do Anglii? Ktoś mi niedawno o tym wspominał - dodała, lekko się rumieniąc.

- Tak, wyjechał, dość niespodziewanie, został pilnie wezwany na jakąś konsultację. Wiesz, moje dziecko, bywają sprawy, z którymi bez niego nie potrafią sobie w klinice poradzić! W swojej dziedzinie jest ekspertem, autorytetem w skali międzynarodowej. Ostatnio otrzymał bardzo ciekawą ofertę pracy w Stanach...

- Jaka szkoda! - wykrzyknęła Megan, a zreflektowawszy się, dodała pospiesznie: - To znaczy, szkoda, żeby profesor opuszczał Lejdę i Londyn. W obydwu klinikach jest przecież tak bardzo potrzebny.

- Też tak sędzę, moje dziecko, widzę, że idealnie się zgadzamy. Nie wiem, co Jake ostatecznie odpowie Amerykanom, ale jedno jest pewne: dolarami nie zdołają go skusić, jest wystarczająco zamożny. A co z tobą, moje dziecko, jakie masz plany na przyszłość? Opowiedz!

- Moje plany? Cóż, moje plany... - zaczęła Megan ociągając się trochę, bo chętnie porozmawiałaaby jeszcze o profesorze. - Właściwie nie są dokładnie ustalone. Wkrótce opuszczam dom dziecka, ale dokładnie nie wiem, kiedy. Pojadę do Anglii, spędzę jakiś czas w domu...

- Nie zamierzasz wrócić do szpitala Regent's?

- Och, nie! W żadnym wypadku. Chciałabym podjąć pracę poza Londynem, może nawet gdzieś daleko, na przykład w Szkocji... Nie zdecydowałam się jeszcze do końca.

Rozmowa przeszła na inne tematy. Litman podał sherry, a po niedługim czasie zaanonsował, że obiad jest już gotowy. Baronowa i Megan przeszły na posiłek do jadalni. Na kawę wrócili znów do salonu.

- Teraz, moje dziecko - odezwała się starsza dama, gdy filiżanki były już puste - zrób sobie mały spacer wokół domu. Ja muszę się zdrzemnąć, to niestety konieczne w moim wieku, mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Megan z uśmiechem zapewniła, że tak, i wyszła. Pokręciła się tu i tam w najbliższym otoczeniu rezydencji. Natrafiwszy na drzwi w dość wysokim kamiennym murze, który osłaniał teren rodowej siedziby van Belfeldów od tyłu, uchyliła je i wydostała się na zewnątrz. Ujrzała rozległy trawiasty wygon i połyskujące w oddali morze. Gdy stała i podziwiała ten

cudowny widok, nie opodal zjawił się Dirk, prowadząc ze sobą psy. Megan spytała go:

- Czy ta ziemia też należy do pro... do barona?

- Owszem, proszę pani. Cała, jak okiem sięgnąć, aż do wody. Ogromna posiadłość...

Dirk z psami skierował się w stronę tylnego wejścia, Megan zaś, przez taras, wróciła bezpośrednio do salonu. Baronowa już nie spała. Odświeżona, pokrzepiona drzemką, z werwą zaczęła opowiadać o dziejach rodu van Belfeldów i jego siedziby. Przerwała dopiero, gdy podano herbatę, by zauważyć z uśmiechem:

- Popołudniowa herbata, cudowny angielski zwyczaj. Moją ulubioną assam Jake sprowadza bezpośrednio z Londynu, od „Fortnuma i Masona”...

Przy herbacie i miłej pogawędce szybko minęło kolejne pół godziny. Wreszcie Megan zaczęła się żegnać. Baronowa poleciła, by Dirk podjechał samochodem bezpośrednio przed frontowe drzwi.

- Bądź dobrej myśli, moje dziecko. Czeka cię szczęśliwa przyszłość, zaufaj przeczuciu starej kobiety - zapewniła z przekonaniem Megan, nim się rozstały.

Nazajutrz dyrektorka zawiadomiła Megan, że Mien wraca za dwa dni.

- Gdybyś zechciała zostać u nas jeszcze jeden dzień dłużej, mogłabyś spokojnie przekazać Mien wszystkie sprawy - poprosiła. - Popracowałybyście razem na przedpołudniowym dyżurze. Będziesz miała dość czasu, żeby dojechać do Amsterdamu i złapać nocny pociąg, który potem, z Hoek van Holland, płynie promem kolejowym prosto do Anglii. Zrób sobie rezerwację. Gdyby nie było już miejscówek, nic się nie martw. Możesz śmiało u nas poczekać na najbliższy wolny termin.

Miejscówki były. Załatwiwszy przez telefon wszystkie formalności, Megan uzmysłowiła sobie, że właściwie czas już rozpocząć pakowanie. Niedługo będzie w domu, powinna się z tego cieszyć, ale... No właśnie, jak miała się cieszyć z faktu, że nie zobaczy już więcej profesora?

A jednak zobaczyła go. Następnego dnia, podczas dyżuru, zjawiał się jak gdyby nigdy nic w sali niemowlaków.

- To nie jest pan w Anglii? - zdziwiła się Megan. - Wróciłem dziś rano.

- A ja jutro wyjeżdżam. Myślałam, że się już nie spotkamy, zamierzałam do pana napisać...

- O czym?

- Chciałam podziękować. Miał pan rację, potrzebowałam tego wyjazdu. Żeby spojrzeć na wszystko z dystansu. I żeby się dowiedzieć... co to znaczy... naprawdę się zakochać! Żeby się przekonać, jak to jest.

- Doprawdy?

- Tak - potwierdziła krótko i spojrzała mu z bliska prosto w twarz. - Może pan nawet nie chce o tym wiedzieć, ale ja już nie umiem dłużej ukrywać: zakochałam się w panu! Uświadomiłam to sobie właśnie tutaj. Gdy mnie pan przywiózł, zostawił i odjechał bez słowa.

Nim profesor zdążył cokolwiek odpowiedzieć, musiał wyjść, wywołany w jakiejś pilnej sprawie przez doktora Timussa. Więcej się tego dnia nie pokazał.

Wieczorem przyjechała Mien, sympatyczna, jasnowłosa i niebieskooka dziewczyna, dość pulchna, o zaokrąglonej buzi. Mówiła bardzo dobrze po angielsku, miała mnóstwo do opowiedzenia o Kanadzie.

- Ale cieszę się, że już wróciłam, bo bardzo lubię to miejsce i ten dom - stwierdziła na koniec. - A ty, Megan? Jak ci się tu spodobało?

- Bardzo. I wcale nie chce mi się wyjeżdzać... Następnego dnia razem odbyły poranny dyżur.

Potem był szybki obiad i... Nieodwołalnie nadszedł czas pożegnania! Dyrektorka jeszcze rano zawiadomiła Megan, że na stację kolejową w Castricum odwiezie ją samochód. Nie uprzedziła jednak, że będzie to szary rolls - royce.

Profesor otworzył drzwi, pomógł Megan usadowić się z przodu, sam zajął miejsce obok, za kierownicą. Nie mówił nic. Pomachał ręką stłoczonej przed frontowymi drzwiami gromadce żegnających, zachęcił Megan gestem, by uczyniła to samo, uruchomił silnik i ruszył z dziedzińca. Wyjechawszy na drogę, skierował jednak wóz nie ku Castricum, lecz dokładnie w przeciwną stronę.

- Muszę zdążyć na pociąg! - odezwała się zaniepokojona Megan.

- Wiem, wszystko w swoim czasie - odparł profesor sentencjonalnie, nie siląc się na bardziej wyczerpujące wyjaśnienia.

- No to dlaczego mnie pan wiezie... - Cii... Powiem później.

Megan pomilczała przez chwilę i zaczęła znowu:

- Zupełnie nie rozumiem, co pan właściwie robi. I dlaczego? Spóźnię się na pociąg! Chce mnie pan zawieźć prosto do Hoek?

- Nie.

- Jeżeli chodzi o to, co wczoraj w zdenerwowaniu powiedziałam...

- Chciałaby pani odwołać?

- Nie, skądże! Proszę przyjąć wszystko do wiadomości, ale już nie mieć mi za złe, dobrze? I powiedzieć wreszcie, dokąd jedziemy?

- Do domu - odparł lakonicznie profesor i znowu pogрузzył się w milczeniu.

Megan przestała go wypytywać. Za to w myślach próbowała odgadnąć, o co mu chodzi. Czy chciałby jej zaproponować jakąś nową pracę w Holandii? A może w zaciszu swego profesorskiego gabinetu wygłosić pouczający wykład o wyższości zdrowego rozsądku i godności osobistej nad przesadnie wybuchającymi i źle ułożonymi uczuciami?

- Nic pana nie upoważnia... - zaczęła tonem najwyższego zniecierpliwienia, zła, że tak czy inaczej spóźni się na pociąg.

- Myślę, że wręcz przeciwnie - przerwał jej profesor. - Dojechaliśmy - dodał, po czym zatrzymał samochód i otworzył Megan drzwi.

Wysiadła. Rozejrzała się niepewnie dookoła. Drzwi domu van Belfeldów były zamknięte. Nikt nie wyszedł na powitanie. Profesor ujął ją pod ramię, przeprowadził wokół budynku na tylny dziedziniec i dalej, ścieżką przez ogród, aż do furki w murze. Wyszli na zewnątrz, na otwartą przestrzeń.

- Dlaczego...

- Już mówię! Bo tu jesteśmy z całą pewnością sami, a nie mam zamiaru oświadczać się w asyście. Czekałem na tę chwilę bardzo długo, kochanie, od momentu, gdy cię poznałem w Regent's, jeszcze jako narzeczoną Oscara Fieldinga. Długo, ale cierpliwie. No i doczekałem się! Dałem ci czas na wsłuchanie się w głos własnego serca. Teraz posłuchaj, co mówi moje. Kocham cię, Meg! I bardzo pragnę, byśmy spędzili resztę życia razem.

Przygarnął Megan do siebie i pocałował.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć... - odezwała się odzyskawszy oddech po tym długim i namiętym pocałunku.

- Mógłbym, oczywiście, o wszystkim, o czym zechcesz, tylko ty powiedz najpierw, czy zgadzasz się wyjść za mnie za mąż?

- Ja? Och, Jake, tak, zgadzam się, ale czy mógłbyś mi powiedzieć...

- Nie traćmy czasu na niepotrzebne gadanie! Chodźmy do domu. Moi rodzice już wrócili z Nowej Zelandii i czekają, żeby cię powitać.

- Moi też czekają. Na mój powrót pociągiem, który właśnie odjechał.

- Nie denerwuj się. Zawiadomiłem ich, że zjawisz się trochę później.

- Jak to, zawiadomiłeś? Skąd mogłeś wiedzieć... A co byś zrobił, gdybym nie chciała nawet wsiąść do tego twojego samochodu? Jest przecież autobus do Castricum.

Profesor zastanowił się przez moment.

- Pojechałbym za autobusem i porwał cię ze stacji! - odparł zawadiackim tonem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Bo widzisz, moja droga, ja cię po prostu kocham.

- Och, Jake! Ja też cię kocham, przecież wiesz. I chcę, żebyśmy byli zawsze razem!

- Tak, Megan, tak, będziemy. Zawsze i wszędzie! Tymczasem chodźmy do domu...